



**KWIECIEŃ**

**1985**

**miesięcznik polityczny**

**Liberalno - Demokratycznej Partii**

**„Niepodległość”**

**Nr 40**

**WARSZAWA-KRAKÓW**

**cena 75zł.**

MOJE BOJE Z CENZURĄ /JACEK FEDOROWICZ/

O CZYM MYSLI CZERWONY ?

KONSTRUKTYWNA OPOZYCJA

STRAJK !!!

GDZIE GŁOWA, GDZIE NOGI, GDZIE OGON ? /BAZA/

EUROPA .....

INFORMUJEMY

POCZTA DO I OD REDAKCJI

NIEBEZPIECZNE ZWIAZKI /Wiktor Kulerski/

NIEBEZPIECZNE CZY NIEZBEDNE

WOLNOŚCI DZIEŃ POWSZEDNI

UWAGI O "MOMENCIE ZEROWYM"

REORGANIZACJA ROLNICTWA

KOMUNIKATY



# K O M U N I K A T

Informujemy naszych czytelników, że miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez Grupę Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ". Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszar Polski. Przedruk artykułów dozwolony z podaniem źródła. Przedruk całości po uzgodnieniu z GP'N". Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje Independent Polish Agency /copy-right outside Poland by IPA/ Óstra Mártensgaten 15, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.

WARSZAWA, 30 września 1985r.



## MOJE BOJE Z CENZURĄ

Droży Czytelnicy! Przedstawiamy poniżej monolog Jacka FEDOROWICZA - przepisany z krążącej kasety - bez wiedzy i zgody Autora. Sądźmy, że znaczenie tego tekstu usprawiedliwi nas z tego krzku. Tytuł pochodzi od nas.

Kedakcja "N I E P O D L E G Ł O Ś C I"

Chciałbym zapoznać Państwa dzisiaj z moimi refleksjami na temat cenzury. Mam tutaj spore doświadczeń, ponieważ mój pierwszy kontakt z tą instytucją odbył się dokładnie 30 lat temu.

Doskręcałem pamiętam tę pierwszą interwencję cenzorską, pamiętam również moje zdumienie, gdy usłyszałem co wzbudza wątpliwości. Było to mianowicie zakochanie niewinnej scenki grupowej w studenckim teatrze Bim-Bom, który właśnie powstał i zamierzał wystawić swój pierwszy program. Scenografia zakwestionowanego składu sugerowała róg dwóch ulic; na tym rogu działo się wiele zabawnych zdarzeń, na koniec chłopak w masce udającej łeb psa, wbiegał na scenę na czworakach, pod murem podnosił nogę w charakterystycznym geście, co było czymś w rodzaju uzasadnionego komentarza do całej scenki, nie było ani trochę ordynarne, nie było wygłupem na siłę, a jednak wywoływało stanowczy sprzeciw cenzury. Absolutnie nie wiedzieliśmy dlaczego. Co się okazało? Oto czujne oko cenzora, wpatrzone w scenografię, spostrzegło, że scenograf obok nazwy ulicy, zabawnej pociętej rynną, ciska z doniczka, namalował na dykcie także i napis który w owych czasach widać się w Gdańsku na każdym murze, a mianowicie: "Mia nie? Pies gędził w sojusze, siusiając w niebezpiecznej bliskości rosyjskiego alfabetu.

W ciągu następnych 30 lat nieraz jeszcze zdumiewałem się nad drobiazgowością cenzorów dopatrujących się ukrytych myśli tam, gdzie autorowi ani w głowie nie było myśleć o cokolwiek i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ten system panicznie boi się słów, wychodząc z założenia, że co nie zostało opisane słowem - nie istnieje. W ostatnich latach zmodyfikowałem nieco tę teorię, doszedłem bowiem do wniosku, że najbardziej system obawia się nie tyle słów, ile faktu, że są wypowiedziane bez zezwolenia. Inaczej mówiąc, system łatwiej zniesie krytyczny tekst wygłaszany za zgodą cenzury, niż pogadankę powiedzmy o motylach wygłaszaną bez uprzedniego uzgodnienia tekstu. Ma to swoje głębokie uzasadnienie w ogólnej koncepcji walki ze społeczeństwem, o czym mam zamiar mówić jeszcze za chwilę.

Moje 30-letnie zmagania z cenzurą wyglądały bardzo różnie w różnych latach. Zdarzały się nawet bardzo długie okresy prawie bez skreśleń, mimo że przeciwnikiem tego systemu jestem od dziecka i zawsze starałem mu się przeciwstawić na ile mnie tylko było stać w danym momencie i sytuacji. Gwoli wyjaśnienia, w promieniu półtora metra dookoła mnie socjalizmu nigdy nie było, nie ma i nie będzie - ... może Państwo się przysunąć... Okresem raczej "bezskeśleniowym" był np. okres telewizyjnych programów, które robiłem wspólnie z Gruzą i Kobiela w latach 60-tych. Kontrrewolucja ozaiła się tam nie w słowach czy ukrytych myślach, ale w samej atmosferze programu, co było dla cenzury właściwie nieuchwytnie. Były to czasy ascetycznego, ponurego Gomułki, który - to dla scharakteryzowania jego psychiki młodszym słuchaczom - np. teści m.in. prywatną motoryzację. Nasz program był jedną wielką pochwałą rozrywki typu amerykańskiej, odchodzącej od sztampy i konwencji, pochwałą rozrywki "odsztymniczej", całkowicie odmiennej od tego co lansował dotychczas "siermiężny" socjalizm. Potem przyszedł Gierek i zaczął udawać człowieka z "achodu. Nie można mu było w tym pomagać, usnałem - że przyszedł czas na tekst satyryczny. W tym samym czasie - niestety - Gierek uznał, że tekst satyryczny trzeba całkowicie wyrugować z telewizji i nie można być odtąd - mówić w telewizji nawet tego co za Gomułki.

Po jakimś czasie plenipotent Gierka - Szczepański, zrobił z telewizji, to czym jest ona przesłana do dzisiaj: głównym środkiem zatrucia mózgow. Jeżeli rozrywka to tylko bezmyślna - brzmiące polecenie. Przeniosłem się więc do III pr. radia i tu zaczęło się wielkie skreślanie. Chciał nie od razu. Pierwsze felietony z cyklu porannych przedziałkowych pogadanek przechodziły bez skreśleń ku mojemu niepomiernemu zdziwieniu, bo przecież bardzo starannie godziłem w nich w podstawy ustrojowe i myślę, że działo się tak dzięki etykietce zdobytej w telewizji. Etykietka, która brzmiała mniej więcej: Fedorowicz - bezkonfliktowy wesełek. Po jakichś 3 miesiącach ktoś musiał się dokładniej wsłuchać w to, co wygaduje wesełek i zaczęło być znacznie trudniej. Potem z tych felietonów zrobiłem książkę pod tytułem "W zasadzie - tak" i książka ta została bardzo pozytywnie zrecenzowana w paryskiej "Kulturze", co uważam za wielki sukces życiowy i wtedy już praktycznie nie mogłem powiedzieć nic. Tak ich uczuliłem. Przeniosłem się do powstającego właśnie "magazynu: 60 minut na godzinę" i spróbowałem tym razem przehyt-

zem przechytryć nieco cenzurę. Zacząłem mój udział w tym magazynie od zdecydowanych wygłupów, czasami chyba na pograniczu dobrego smaku - mam na myśli na przykład pretać kolegi Kuchmistrza, iść kontrwersyjna - ale nowe szefstwo pokochało mnie nawet jak bezkrytykowskiego i wtedy pomalutku zacząłem znów saczyć mój jad perzającej, kontrrewolucyjnej propagandy. Było to możliwe tylko w trzecim pr., który był wtedy czymś w rodzaju Kopeiuszka środków masowych... Podejrzewam, że dzięki ogólnemu osłabianiu wszelkich informacji i fałszowaniu wszelkich danych, że światłości naczelnictwa nigdy właściwie nie doszło, że III pr. może konkurować popularnością nawet z IV, a to dzięki temu, że właśnie w nim knebel był zawsze nieco rozluźniony. Zdarzył się nawet, że knebel jakby wypadł, wysunął się w okresie "Solidarności". Wyczerpałem sobie zdumienie agentów PRL-u, agentów zwanych dawniej, nieprecyzyjnie, właścicielami PRL, gdy dostarczone im raporty Telewizyjnego Biura Badań Opinii i tam jak byk było wyliczone, że wszelkie rekordy popularności biją ex equo dwa programy, obydwie godziwe, bezkrytycznie sasiadujące ze sobą, a mianowicie: masa święta i "60 minut na erie". Nie ja miałem rację w 60-tce również doczekała się doczłód najwyższego uznania, tym razem nie ze strony "Kultury" paryskiej, ale ze strony, że tak powiem odwrotnej - mas tu nadzieję, że red. Giedroyc się nie obrazi, gdy powiem, że ten doczłód uznania siał mi bardziej, bo chyba nie ma większej satysfakcji niż uznanie ze strony przeciwników. Otóż od 13 grudnia 1981 jestem ciekawym Szumańskiej jedynym autorem, którego tekstach mekich zostałem uznany za najgrzeczniejszego dla ustroju, co oczywiście traktuję jak najmilszy sercu komplement. Nigdy zresztą nie ukrywałem przed radicy, których meich kolegów, którzy przybierali postać zaangażowanych marksistów, idących naprawiać system i ta postawa, co wydać się może paradoksalne, wielokrotnie stawała ich w znacznie trudniejszej sytuacji. Im określano, mówiąc: od was, tow. wyśkandactwo itd. A kiedy tłumaczyli, że skąd? gdzie? jaka krytyka? czy mieli zupełnie co innego na myśli, przyciągać to za sobą jeszcze większe skreślanie, bo cenzurę się obrażał, że autor traktuje go jak idiotę. Ja nigdy nie dyskutowałem ze skreślanymi, mówiłem tylko, tak jest, oczywiście z waszego punktu widzenia jest to tekst nie do przyjęcia, jeszcze wam powiem, że tu miałem na myśli nie żadnego kierownika tyłko po prostu Gierka. Uśmiechali się promiennie, bo to przecież niemożliwe, żeby ktoś takie rzeczy wygadywał poważnie, ale wielokrotnie chcieli pokazać jacy to są światli, otwarci, liberalni i poszczali mi znacznie więcej niż innym. Mijał miesiąc z tych grzechów byłych kolegach, co do dziś zostali w radiu, kiedy słyszę jak pedantnie są opłacani, wykorzystywani, gnójni na każdym kroku, coraz bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że agenci PRL-u najgłębiej pogrążają tymi, którzy im służą i im wierniej ktoś służy, tym boleśniejsze dostaje kopniaki. Cieszę się bardzo, że Państwo się ze mną zgadzają, ja to powiedziałem na wypadek gdyby moje słowa miały kiedyś dotrzeć do kogoś kto właśnie stanął przed wyborem drogi życiowej, żeby mu ułatwić decyzję, jeszcze można by mu rzucić hasło: Obywatelu, żyjesz w jedynym na świecie kraju, w którym kolaboracja pod żadnym względem się nie opłaca! By zakończyć moją burzliwą człowieka cenzurowanego, powiem, że największą satysfakcję z tego co piszę i mówię miałem dopiero wtedy, kiedy zacząłem ignorować istnienie cenzury. Myślę, że każdy artysta, który pragnął smak twórczości przez cenzurę i pisanie w zgodzie z własnym sumieniem, przuciem estetyki, potrzebą wewnętrzną bez oglądania się na zakazy cenzuralne już nigdy nie wróci do pisania cenzuralnego bez szkody dla swojej twórczości, a może nawet i oszczędności. Całe moje doświadczenie życiowe i obserwacja doświadczeń innych prowadzi do wniosku, że cenzura jest największym wrogiem twórczości, najskuteczniejszym hamulcem rozwoju duchowego społeczeństwa, że cenzura po prostu pustoszy kulturę. Ten wniosek, prosty i oczywisty dla mnie, nie jest, jak się wydaje, oczywisty dla wszystkich; co skłania mnie do podjęcia polemiki. Tak z grubszą zgadzają się ze mną wszyscy, bo gdy spytasz kogoś: co lepsze? - swoboda twórcza czy kaganiec? to każdy powie oczywiście swoboda, ale jednocześnie już kilka razy słyszałem takie mniej więcej zdanie: Panie Jacku, gdyby nie było cenzury, pańskie pisanie nie miałoby sensu, w ogóle nie byłoby satyry, nikogo by nie śmieszyło takie wykładanie kawy na ławę, nie byłoby subtelności, finezji, aluzji, panowałaby trywialna doświadczość, więc le dzieło powstać tylko dzięki temu, że autorzy chcieli przechytryć cenzurę. Krótko cytatu. Stronkowie łatwo można się rozprawić z ostatnim zdaniem, dotyczącym dzieł w ogóle, wystarczy powołać się na przykład powojennej historii kultury w krajach środkowo-europejskich dotkniętych socjalizmem, gdzie rozwój wszelkiej myśli regulowany

był skracaniem odkręcaniem i przykręcaniem przysłówiczej śruby, by spostrzec, że dzieła przeważały tam wyłącznie wtedy, gdy ingerencja państwa była ograniczona, a kiedy się nasilała mieliśmy do czynienia z upadkiem kultury; tu można przeprowadzić dowód wręcz matematyczny. Nieco trudniej polemizować z tezą postrzegającą cenzurę jako mecenas satyry, a jeśli nie mecenas, to w każdym razie czynnik wpływający pozytywnie na wartość artystyczną utworów satyrycznych lub wręcz czynnik warunkujący wartość. Trudniej dłażę, że na pierwszy rzut oka aluzja, metafora wyiaje się odbiorcy czyms niesłychanie szlachetnym, nobilitującym - alternatywą trywialnej, brutalnej dosłowności, więc w efekcie wartością zasadniczą. Jeśli ktoś tak uważa to jest to dla mnie dowód, że oni odnieśli po latach swoje pierwsze zwycięstwo, że potrafili wmówić niektórym, że wynaturzenie jest normą, że choroba jest stanem pożądany. Jest tutaj coś ze słonecznym przykładem młodego człowieka, który zbaczył kuchnię z oknami wychodzącymi na sowa-ątra budynku i burzył się na partactwo budowlanych, że dla niego wychowanie w socjalizmie, ideałem i normą jest kuchnia z oknem na pokój. Gdyby istniał system zakazów zmuszający autora do pisania nie wprost warunkował prace artystyczny satyry, to w wolnym świecie - sam tu na myśli kraje, w których demokracja nie jest uważana za przymiotnik niwelujący - Państwo wiecie oczywiście że to jest socjalistyczny, socjalistyczny, socjalistyczny - to są przymiotniki niwelujące, każdy rzeczownik (patrzony tym przymiotnikiem traci momentalnie swoje prawidłowe znaczenie i staje się swim przeciwieństwem. Mamy gdzieś, powiedzmy demokracja, sprawiedliwość, praworządność, (patrujemy je przymiotnikiem: socjalistyczna demokracja, socjalistyczna praworządność i mamy to, co mamy. Gdyby więc cenzura była aż takim sprzymierzeńcem kultury, to w krajach demokratycznych satyry nie byłoby w ogóle - a tymczasem jest i to zupełnie niezła. Oczywiście i na zachodzie są zakazy, ale ich zakres jest po prostu nieprorównywalna z tym co się dzieje u nas w Azji... Była to, że wielu z Państwa miało okazję zapoznać się z (publikowanymi kilka lat temu przepisami cenzury, wydawnictwo "NOWA", wydało tzw. "Czarną księgę cenzury PRL" - wynikało z niej, że cenzura reguluje absolutnie wszystko, nie tylko tematy, ale pojedyncze słowa, konkretne nazwiska, ilość odpowiedzi polemicznych na konkretne artykuły prasowe itd., itd. Gdyby tu ktoś powiedział, że to przykłady z ery gomułkowskiej czy gierkowskiej, to spieszę zapewnić, że nic się tutaj nie zmieniło, oczywiście w niektórych miejscach zelżało, w innych zaś to się pogorszyło i na pewno została ta niezwykła irracjonalność, która powoduje, że cenzura ustala wysokość nakładu afisza, format wywieski reklamowej, ingeruje w kolor na plakacie, w krój oczionki na zaproszeniu, zarost na portrecie - tak, brunet z brodą może być, z wąsami wykluczone... Nazwisko Lecha Chelgasi. Czerwne litery na białym tle, ciasto malowane szerokim pędzlem, teś odpadają. Cenzor jest nie tylko malarzem, drukarzem, fryzjerem. Cenzura reguluje czasem nawet reakcje widowni. Sam byłem świadkiem jak cenzor tłumaczył wykonawcy, że musi on urbić żeby po tym dowcipie luźnie się nie śmiało, bo jak będzie śmiech to numer wyleci... "Pan to tak powie, wie Pan jakś tak szybko, żeby nie złapali..." Jedynym słowem wciąż straszy ten pies sprzed 30 lat, któremu nie wolno siusiać na bukwę.

Są ludzie, którzy uważają, że to wszystko niezwykle pomaga satyrykowi, ponieważ sprasa go do kombinowania i z tego kombinowania powstają wielkie dzieła tożące szlachetną ponadczasowością, podejmujące fundamentalne tematy np. odciecznej walki dobra ze złem, zamiast przyjemnego usterania się z kłamstwami propagandy. Tej pięknej wizji przedstawia obraz rozpasanej swobody twórczej, która ich zdaniem musi prowadzić do prymitywnej dosłowności. I tu, ktoś kiedyś, dawał mi przykład niektórych tekstów prezentowanych w Hali "Oliwia" w czasie festiwalu "Zakazane piosenki". Zgromię się, były tam także i teksty nieładne; poczucie krawdy, nienawiść do ciemiężców i inne uczucia szlachetne nie są patentem na pisanie. Również i teraz wśród tekstów przez cenzurę znależć można teksty żenujące, choć ze szlachetnych pretekstów pisane. I co z tego? To wcale nie znaczy, że ich autorzy pisaliby lepiej gdyby im narzucić cenzurę. Pisaliby tak samo źle albo i jeszcze gorzej. Nikt jakś nie mógł mi dać przykładu autora, który był dobry w czasach szalejącej cenzury i nagle się zepsuł gdy cenzura przychodziła. Nie ma co się szukać. Wolność jest zawsze sprzymierzeńcem twórcy, a niewola zawsze jego wrogiem. Jeszcze o tym kombinowaniu, które niby tak świetnie wpływa na poziom wartości satyrycznej i nie tylko. Ono istotnie może dawać efekty pozytywne i wielokrotnie dawalo. Sam też płałłem się w aluzjach, wierząc, że jest to sprzymierzeniec. Ale nadchodzą czasy... zdarza się, może się zdarzyć taki czas, kiedy aluzja jako metoda twórcza jest całkowicie nieprzydatna. Taki czas, moim zdaniem właśnie nastąpił. W latach 80-81 świadomość Polaków pogłębiała naprzód w szalonym

tempie. Teraz, dojrzałe społeczeństwo ma zupełnie inne potrzeby duchowe niż kilka lat temu. Jeszcze nie tak dawno warto było mocno cmijać zakazy cenzuralne przy pracy misternych aluzji, wielopiętrowych metafor, niedomówień, sprytnych przypowieści, już choćby po to, by dać ludziom sygnał, że jeżeli nie są zachwyceni systemem to nie są w tym braku zachwytu i osobnieni. Warto było przełamywać uczucie osamotnienia, które starała się wpaść ludziom wiaza. Warto było iść na różne ustępstwa, aby jednak w efekcie dać słuchaczowi do zrozumienia: nie jestem sam słuchaczem, nie siedzę przed telewizorem jako jedyny niezadowolony w morzu zachwycanych, są też i inni, którym się to wszystko nie podoba. Warto było również polemizować z oficjalną propagandą, na ile było to możliwe, warto było prowokować odbiorcę do myślenia. Pamiętam, że moja ambicja /przepraszam, że tyle mówię o sobie, ale jakos jest to przykład dla mnie najbliższy/ w latach 70-tych, było uświadamianie ludziom na każdym kroku, że wszystkie tzw. belaczkę, cwe leniwe ekspedientki, niegrzeczni kelnerzy, bezczelni biurokraci, to nie są anomalie systemu, lecz wręcz przeciwnie, nieuniknione następstwa tzw. socjalizmu. Trumaczyłem, że w socjalizmie w zimie zimny kaloryfer to rzecz normalna, zjawiskiem niernormalnym jest kaloryfer, który grzeje. Jeszcze w okresie "Solidarności" uważałem, że warto kreować alegoryczną w jakimś sensie postać księgi wspomnienia, aby pokazywać ludziom, które u nas jest "władza".

Pod 13 grudnia wszystko się zmieniło. Władza powiedziała o sobie więcej, niż zdrabiałaby powiedzieć wszyscy satyrycy przez lata. Odbiorca wie już doskonale o te na system i o te za władza. Wszystkie jest jasne. Ja uważam, że ta władza mnie po prostu wyreczyła. Wyreczyła w każdym razie w kwestiach zasadniczych, w tych prawdach ogólnych, czyli przesłaniach, których nośnikiem może być ewentualnie aluzja. Prawdy ogólne są już znane i aby wyjść naprzeciw aktualnym potrzebom społecznym, należałoby teraz zająć się raczej konkretnymi. I tu bezwzględnie wkracza cenzura starannie usuwając wszystkie o co mogłoby się stać przedmiotem społecznie użytecznych rozważań. Zostają mgliste aluzje, które nie wnoszą do świadomości społecznej absolutnie niczego nowego. Przestałem lubić aluzje już zupełnie w momencie, kiedy zauważyłem, że właśnie przy pracy preferowania aluzji cenzura degeneruje autorów i nie tylko autorów, odbiorcę również. Mechanizm tego zjawiska jest taki: satyryk pisze tekst, nie umieszcza w tym tekście żadnych istotnych, bliskich odbiorcy problemów, nie wymienia żadnego imienia, żadnego nazwiska, żadnej instytucji, ale za to szpikuje tekst aluzjami do nazwisk, zdarzeń, instytucji, o których wie, że nie mogą być wymieniane publicznie w kontekście satyrycznym. Tekst zostaje wykrnany. Publiczność pojmuje aluzje i każda z aluzji zostaje nagrodzona śmiechem i oklaskami. Aluzje nie muszą być wcale zabawne, tekst nie musi być dobry ani nawet interesujący, ważne jest, że gdzieś na dnie umysłu tego dnia cierpliwie widzi odnajduje Urbana, na szczycie wielopiętrowej aluzji przepatrzył się może Jaruzelskiego, a spod sterty metafor wydobędzie wniosek, że autor ma pewne zastrzeżenia do ZOMO-woów. I po jakimś czasie zaczynamy się orientować, że w całym całym wzajemny stosunek satyryka i odbiorcy sprząda się do zadawania i rozwiązywania zagadek. Scena czy ekran robią się filią tygodnika "Szarażysta", ja nie mam nigdzie ciwku szarażysty, ale ta sytuacja ma już wszelkie cechy wynaturzenia. Widz nie śmieje się ponieważ coś go rozbawiło, śmieje się, żeby pokazać, że rozwiązał zagadkę, w środku może być nadal smiertelnie pchnury, ale na zewnątrz musi w odpowiednich momentach zrobić demonstracyjne ha - ha - ha!, żeby nie wyjść na głupca, który nie potrafi aluzji. Obek tego strachu, czyli motywacji negatywnej, jest jeszcze motywacja pozytywna. Widz, który jest z reguły człowiekiem przyzwyczajonym, chce pokazać współwzrost i satyrykowi, że jest po jego stronie, że też nie znosi ZOMO-woów, więc znów ha - ha - ha, chociaż do śmiechu powołów żadnych nie ma. Satyryk, który poszedł na lep łatwych sukcesów, bo proszę mi wierzyć, że takie pisanie jest piekielnie łatwe, po prostu degeneruje się, po jakimś czasie pisać już nie potrafi. Degeneruje się również publiczność, której przecucie humoru ustępować zaczyna na krzyś wybitnego uczulenia na wychwytywanie aluzji. To uczulenie zabezpieczone zostało widowni wiele lat temu, ale jeszcze lepiej zauważalne stało się po 13 grudnia. Ludziom, którym naturalnie przez do manifestowania uczuć zostało nagłe ciębrane, właśnie w teatrze lub na koncercie znajdują tę jedyną okazję, aby zademonstrować swoje poglądy. Jednocześnie widownia strajmuje coś w rodzaju poczucia spełnienia obowiązku. Ja tu nie chciałbym generalizować, ale wielu ludzi wychodzi z koncertu estradowego ze świadomością, kojącą świadomością, że otc: "eh, odważnie się wyklaskałem, a więc patriotyczny obowiązek wobec kraju spełniłem i proszę odcie mnie w tym miesiącu nie oczekiwać niczego więcej". To poczucie, że złudne poczucie spełnienia obowiązku może czarnieć również występującemu satyryka. I przyznam się, że to mnie niesłychanie odstrasza od satyry, jak gatunku w obecnej

dziele.

Jaki jest stosunek cenzury do aluzji? Na wskroś przytłoczony, co odkrył już Tadeusz Kruczyński w "Małej Apokalipsie" proroctwo wybiegające w przyszłość. Aluzja jest jakby ukroczonym dzieckiem cenzury, tu podkreślam: każda aluzja. Aluzyjność jako wyłączna metoda twórcza - to jest ideał. Dlaczego? Najprostsze wytłumaczenie jest takie, że namierzył się, że socjalizm nam obrzydł, co oczywiście nie ma szans na przyzwolenie, ponieważ świat, ale im nie wyszło, kwiatki pouczywały, kłocki się przewalały, głód i wojna najrzały w oczy... I cenzura to puszcza, puszcza licząc na to, że nie każdy zrozumie, a ten co zrozumie nie będzie pewien na sto procent, bo przecież nie zostało nigdzie przewidziane wprost, że socjalizm nie wyszedł nikomu i nigdzie, chyba, że bkiem. Wynikałoby z tego, że miłość cenzury do aluzji stwierdzana jest tym, że aluzja mniejsza drogą odbiorców tekstu, ograniczając go do sprytniarzy, którzy pojęli aluzję. Cóżem trochę tak chyba jest, ale myślę, że nie będzie to wytłumaczenie pełne. Uważam, że znaczenie ocenijemy dla władzy, która przeluguje się cenzurą jest fakt, że autor się ogiał, mówiąc językiem potoczny zżamał się, coś jakby podpisał lejalkę. Jeszcze niedawno mówił to or myśli, a teraz "aluzjuje" na nasze przeocenie. Zrobił pierwszy gest kapitulacji. Śladem to na razie wystarczą, władza stronić będzie od mówienia o aluzji, a kiedy będzie trzeba zamknąć go w aluzjach tak cienkich, że będą one rozszyfrowywane wyłącznie dla niego i jego najbliższej rodziny. I to nawet nie ze strachu przed aluzją, tylko ze strachu przed władzą, żeby autorowi się we łbie nie przewróciło. Przez trzydziście kilka lat, czasem, tak, chrząstka o to, żeby ludzie nie ruszali. Do roku 80-tego nasi władcy walczyli jednak o nasze dusze, różnymi sposobami, czasem nawet wręczając nam w ręce starali się nas przekonać do swojej ideologii. I to się skończyło. Ideologia runęła w sposób zbyt rozrywisty, zbyt spektakularny, aby władza mogła się na nią opierać. Jeżeli ktoś licząc jeszcze na zaszczytowanie przez ideologię, w którą oczywiście sami nie starają się nawet wierzyć, to tym kimś mogą być chyba tylko nowocześni, bo już przedświatki są nasze. Ja myślę, że ci dostrzegali o to, że władza chce sprawę i dlatego przestępują według innego planu działania. Najlepszym przykładem jest tutaj telewizja. Proszę się nie dziwić prymitywnej propagandzie telewizyjnej, bo państwo się czasami dźwiga: co dla kogo te bajki? co co, czy powierzon- li? kto w to uwierzy? Sprzątałem się kiedyś z twierdzeniem takim nawet, że Urban to na pewno nasz oświeciec, bo jeszcze nikt nie zraził tylu ludzi do władzy co on. A tymczasem, to nieprawda. A mój zdaniem to nieprawda. Urban dostrzegł wie co robi i właśnie dostrzegł wie co robi sadzając przed kamerami właśnie Urbana. To jest właściwy sądwiak na właściwym miejscu. Bo nie chodzi o to, żeby ludzi nie zrazić, chodzi o to, żeby ich przerazić. To jest oczywiście dość skomplikowane, bo są różni odbiorcy telewizji. Jest oczywiście sprawa grupa społeczna, powiedzmy wyśi oficerowie wojska z rodzinami na przykład, która święcie wierzy we wszystkie - wydawałoby się niewiarygodne - bajki telewizji. Wierzą, bo chcą uwierzyć, bo tak jest wygodnie, to jest koleśny koncert propagandy. Oni dostają od telewizji gotową odpowiedź na każde, nawet najtrudniejsze pytanie. Jasny stereotyp: kto wróg, kto przyjaciel. Wiedzą, że kryzys spowodowała "Solidarność" z Reaganem, że klasa robotnicza gorąco popiera nowe związki zawodowe, a dżinni stanowią wrogiemu prześladowcy cud gospodarczy. Oni w to naprawdę wierzą. Ta grupa odbiorców telewizji wprost. Jest druga grupa, ludzie, nazwałbym ich, słabi psychologicznie, nie umiejący myśleć samodzielnie, lub niechętni wysileniu. Do prostu czasem przytłoczony, bo w głowach coś zostaje. Codziennie hektolitry trucizny spływają na nich, spływają, ale od czasu do czasu coś zostaje, organizm co pewien czas wchłania kilka kropel. Ale najważniejszym adresatem propagandy telewizyjnej jest dopiero trzecia grupa, czyli cała reszta. Czyli ludzie, którzy w ciągu 16 miesięcy "Solidarności" sakramentalnie wliczali. Naród, którego władza się boi, którego z całego serca nienawidzi i dla którego specjalnie przygotowuje taką właśnie propagandę. Ta propaganda nie chce niktę przekonać, ona chce pokonać. Mówi: patrzcie i słuchajcie. Mówimy powiedzcie wszystkim, każde kłamstwo, możemy oblewać kubkiem piwa, kogo tylko zechcemy, każda bajka możemy podjąć do rangi dogmatu. Możemy was obrazić, poniżyć, obrazić, szargać wszystkim co dla was dręgie - barwy narodowe, penniki, bohaterów. Możemy najgroźniejszych patriotów skazywać na strasę czołżony a zdrajców obwieszać medalami. Wszystkie możemy, a wy nieście tylko siedzieć przed telewizorami i szarpać pięści, słuchać i milczeć. Tępy jesteście silni, taki edwet bieramy za to, że rozwieliliście się marzyć o lepszym świecie. Więc jeśli przyjmujemy jako pewnik, że władza wie, że opiera się tylko na palcach i czułkach, że nie próbuje zdobyć akceptacji, że pilniejsze zadanie uznając złamanie czołżony uprzedzenia, to oczywiście się stanie, że tamna, nawet stosunek czołżony satyra nie jest w stanie jej przeszkadzać. Pod jednym warunkiem, tym mianowicie, że będzie

koncesjonowana, mam tu na myśli stałą kontrolę władzy nad zasięgiem oddziaływania. Koncesjonowana znaczy, że konkretni ludzie w konkretnych miejscach decydują o tym, nie na konkretne przyczynki czy nawet ciosy we władzę, ale nie ma to charakteru osowego ani tym bardziej żywiołowego otwarcia, bo władza cały czas pilnuje, żeby satyra w nią wymierzona stwarzała wrażenie, że z jednej strony dobry pan prawda, a z drugiej, że wszyscy by mogli krytykować gdyby chcieli, a że nie chcą, znaczy popiera ją rząd, a tylko garstka jest przeciw. I dlatego w pierwszym rządzie widowni satyrycznego kabaretu widzimy Mieczysława Rakwskiego pokładającego się ze śmiechu gdy se sceny padała sarta c nowych związkach zawodowych. Z tego śmiechu przebiega radca, że znany od lat, popularny kabaret, znów jest, że nie trzeba na siłę zakładać nowego, bo trzeba by założyć. W ogólnym sielankowym obrazie normalizacji satyra jest niebezpieczna - wrócił też, przede wszystkim, w życie kulturalne, w telewizji mamy kabaret Olgi Lipińskiej, w radiu mamy program na III programie, mamy audycje satyryczne o godz. 10 w niedzielę, mamy występy czelnych satyryków. Oni się jeszcze wstrzymują przed występami ostraczkowymi w telewizji, ale spokojnie, spokojnie, podwyższymy im stawki, rozmawiamy się kontraktami na wyjazdy zagraniczne i "beżnie".

Tu proszę mi pozwolić znów na cały wtręt cerbisty, na coś w rodzaju cenzury, a mianowicie, jeżeli o mnie chodzi to nie "beżnie". Przynajmniej na razie - tu powinienem skrzyknąć z akceptacji i przerwać ten temat - ale jednak osuję cewniak jakiegoś wyjaśnienia. Mianowicie konkretnie to wygląda w ten sposób, że postanowiłem 13-tego, że nie będę wyprzedzał się w żadnych państwowych środkach przekazu, wliczając w to: telewizję, radio, prasę, wydawnictwa, domy kultury, kluby, kabarety i chociaż trzymam w tym postanowieniu wyjaśniłem całym dotychczasowym wywodem c cenzurę. Świadectwem społecznej bezużyteczności satyry dozwolonej w obecnej dobie jest słowo powiem przesłania. Ale jest jeszcze kilka dodatkowych powodów, które chciałbym wyliczyć, przy tym proszę mi wierzyć, daję słowo, że nie mówię tego wszystkiego, bo to by dało do zrozumienia, że cto tutaj przed wami znalazł się jedyny sprawiedliwy a cała reszta to klabracanci. Nie, mówię po to, żeby się wytłumaczyć przed tymi z Państwa, którzy ze szlachetnych pobudek mają do mnie żal, a nawet czasami twierdzą, że moja postawa jest asprzeczną. "Panie Jacku - mówią - śmiech ludzkiem jest potrzebny, ludzie chcą satyry". "Moi drodzy - odpowiadam na to - z tą satyrą jest dokładnie tak samo jak z wódką. Też jest cibrzymie zapotrzebowanie społeczne, też ludzie chcą i to wcale nie jest powód, żeby im dawać. Z tej satyry płynie dokładnie tyle samo pszytku dla ludzi jak z wódką. Chwila zapomnienia i już. A władza się oleszy. Wy zadawacie się słysząc swoje upragnione cienkie aluzje do grubych świństw, a oni w tym czasie zacierają tłuste raczki z radości". Przy każdym działaniu cewniakem świadomego człowieka społeczeństwa jest przeprowadzenie kalkulacji: kto na danym działaniu uzyskuje więcej? - my społeczeństwo, czy oni władza? Ja przeprowadziłem taką kalkulację na własny użytek; przekreśliłem wyłącznie na własny i wynik był jednoznaczny. Może się przybliżyć. Na razie wyszła mi jednak, że głośniejsze c przoszekiwanie, będzie moje milczenie. Se chociaż nie mam c sobie zbyt wielkiego wybratania, to jednak uważam, że to milczenie jest jednym z elementów wących niecc ten sielankowy obraz normalizacji. Ponadto, gdybym teraz poszedł do radia, zaczął się robić jakiś program c niczym, albo cto gorsza program udający trapiętarść, to po wszystkim, cto mówiłem przedtem, czułbym się po prostu jak człowiek, który cewniakuje swoje poglądy, zaprzeczając idę, które lansował, a ja bawiarz sobie cenie to, cto zdażyłem powiedzieć swoim sąsiadom. Na razie sobie milczę, na razie sobie pomilczę i wspólnie se społeczeństwo pszytkamy cto cjadą. To były powody główne. Jest jeszcze kilka prawdziwszych jak na przykład to, że oni mnie po prostu przestali śmieścić, ale już nie będę na daleko cdbiegał cto tematu zasadniczego. Czyli do cenzury wracamy.

Być może zaskoczę Państwa stwierdzeniem, że uważam cbebną cenzurę za straszkę liberalną i ten liberalizm jest znacznie głośniejszy niż ewentualny zamknięty. To jest dość ryzykowna teza, spieszę z usasadnieniem. Drtychczas mówiłem c cenzurę jak c czymś cto paraliżuje życie kulturalne, krępując je misternym spletem zakazów. Nic rac jak punkt cdbiesienia potrzeby kulturalne społeczeństwa, cenzura jest bardzo cstra. Se samą cenzurę jednak możemy śmiało uznać za liberalną, jeśli się właśnie pod uwagę cdbiąją koncepcję walki ze społeczeństwem. Wydawać by się mogło, że ta władza, która nie tylko nie liczy się z niczym, ale jeszcze demonstracyjnie to podkreśla, cto by pokazać jaka to cna silna, powinna wprowadzić cenzurę stalinowską, albo na przykład taką, która nie dręć, że wszystkce skreśla, to jeszcze w wypadku cto cstraczkowych tekstów, strzela do autców, bo niby dla cego nie. Tymczasem cenzura była jednak naskakująca pbeblażliwa. Myśle, że straszkowy liberalizm cenzury zawzięty kulturę niesamodzielnej. Wreszcie po latach, także i satyrycy mają alternatywę cbiegu cdbiesialnego



i mogą się zmieścić w obiegu niezależnym. Wobec czego cenzura, która o tym wie, kusi "przyjaciela" - mówi - pokaż tekst, podyskutujemy. Tutaj troszeczkę odejmiemy, tu dodamy. myśl zostanie taka sama, taka jak chciałeś, kto inteligentny zrozumie o co ci chodziło. Przecież to takie niewielkie ustępstwo a pomyśl ile zyskasz. Walyszą cię nie setki ludzi, ale tysiące. A jeżeli zamiast Jaruzelski, napiszesz: pan w mundurze - najlepszej kolejarzki - też się domyślą, to setki tysięcy słuchaczy będziesz miał, bo w razie ci pozwolimy to powiedzieć. Nie będziesz musiał się tułać po salkach państwowych, uciekać przed SB-kami, zarobisz dużo pieniędzy. Ludzie na ciebie czekają, ludzie ci potrzebują, musisz istnieć dla dobra narodu. O, jeszcze coś możemy zrobić - zabrnimy ci występu na miesiąc - to gdzie nie przyjdiesz, będziesz mógł mówić, że jesteś przesładowany". Tak wygląda mniej więcej kuszenie świętego satyryka i muszę im przyznać, że oni to sobie bardzo dobrze wymyślili. Bo gdyby zastosowali pełny zamordyzm, to jestem przekonany, że wielu wybrałoby jednak kulturę niezależną. Może się mylić, może, że - tak.

Ostatni rozdział. Stefan Kisielewski napisał kiedyś, że nasza cenzura, to nie jest cenzura sensu stricto, że jest ona właściwie fabryka fałszywych tekstów. To jest wielka prawda. Zmudna i drobiazgową pracą zastępów cenzorskich zmierzano zawsze do tego, aby okrojony, wypaczony, okaleczony tekst wyglądał w ostatecznym efekcie na osobista wypowiedź autora. Nie jawne skreślanie, ingerencja, po której zostaje biała plama w gazecie, ale skryte przeinaczenie tekstu przez instytucję, o której nie wolno nawet napisać, że istnieje. Tak było. Okres "Solidarności" przyniósł tu zmianę w postaci przepisu, że redakcja może skwitować ingerencję nawiasami. Ten wyłom w dotychczasowej praktyce jest zdobyczą niestety, moim zdaniem, niewielką i pozbawioną większego znaczenia, bo jak się można łatwo przekonać, korzystają z tego przepisu tylko ograniczone w nakładzie pisma katolickie z "Tygodnikiem Powszechnym" na czele, podczas gdy cała reszta, czyli tak na oko ponad 90% nakładu ogólnego prasy, z prawa tego nie korzysta. Chciałoby się rzec, demonstracyjnie nie korzysta. Co sprawić ma wrażenie, że cała prasa popiera jedynie słuszną linię partii a przeciwstawia się tylko waziatki margines, telercwany przez dobrego, liberalnego pana. Znów, wszyscy by mogli, gdyby chcieli, a że nie chcą widać im się podoba. Tak więc osiągnięcie jest, moim zdaniem, miszerne i to samo dotyczy pozostałych osiągnięć w sferze prawnej regulacji spraw cenzury. Muszę się Państwo przyznać, że ja wcale nie mam przekonania do walki na tej właśnie, prawnej płaszczyźnie, ponieważ dla mnie całe prawo jest bezprawne i krzywe. Osiąganie okrucichów praworządności w ramach bezprawnego prawa jest być może droższe próżeczne, może ułatwia nieco życie, ale jednocześnie debilituje jakby to bezprawne prawo, dając mu coś w rodzaju przyzwolenia, no bo to jest jakaś akceptacja, bo jeżeli wyklócam się o jakiś, słuszny skądinąd, ale wycinkowy przepis, to jednocześnie sugeruję miłośnikom, że reszta jest w porządku. To raz, a po drugie sugeruję, że wierzę, iż przepis ten będzie respektwany, inaczej przecież bym o niego nie walczył. A tymczasem to bezprawne prawo istnieje wyłącznie na papierze, ponieważ w każdej chwili może być zlekceważone przez władzę. Służę tutaj modelowym przykładem własnym z zakresu działań cenzury. Od trzech lat mianowicie sprzedaję w celach zarobkowych w galeriach "Desy" moją grafikę. Tu, na marginesie, wyjaśnię, że nie jest to poszukiwanie nowych środków wyrazu, tylko normalne zarabianie na życie, no bo skoro mam taki zawód to dlaczego mam go nie uprawiać. Gdybym był z zawodu powiedzmy inżynierem elektrykiem, też bym nie pisał satyry w tej chwili, tylko bym naprawiał telewizory. Co ja mówię? - magnetofon bym naprawiał. Na marginesie, to ciekawe jak martwy przedmiot może być żyły lub dobry. Telewizor z istoty rzeczy jest praworządny, magnetofon anty. Wracam do przykładu tej mojej graficznej przygody. Mianowicie, półtora roku temu, wśród różnych rysunków, sprzedawana była również taka grafika "Portret Wałęsy z en fasu", nawet dość udana, jak twierdzi moja rodzina. W momencie, kiedy Wałęsa dostał Nobla, oni zaczęli z wściekłości i szukali gdzie by się tu wyładować. I wszystkie moje rysunki, we wszystkich galeriach, zostały wyaresztowane, w trzech wypadkach łącznie z kierownikami galerii. Za co? - mógłby tutaj spytać naiwny miłośnik prawa. Za portret zwykłego obywatela? Na ewentualnej rozprawie sądowej, nawet najmniej pomyslowy adwokat, zacząłby wywód od tego, że sama władza uznała zwyczajność niejakiego Wałęsy, więc obok karykatur i portretów różnych znajomych rysownika Federowicza ma pełne prawo wisieć portret elektryka Wałęsy. Po jakimś czasie sprawa przycichła, do żadnej rozprawy nie doszło, szefów galerii wypuszczono. Rysunki jednak zatrzymano. Nie wiem czy prawnie, czy bezprawnie. Jak powiedziałem, ja nie będę się w to wgłębiał. Myślę, że trzeba sobie raz na zawsze uzmysłowić, że wóz Drzymały jest możliwy tylko w państwie praworządnym.

Jeszcze wróć do spraw graficznych. Mianowicie, w dwa miesiące po tej całej aferze

z portretem Wałęsy, żeby zapewnić bezpieczeństwo moim marchantom, zrobił wyjątek oficjalnie w "Desie". Więc organ cenzury musiał zaprosić cenzurę. I cenzura, trzeba jej przyznać, bardzo dużo rysunków puściła / znów to kuszenie na zachętę/. Wałęsę odrzuciła tym razem za jakimś zawiłym wytłumaczeniem. Dlatego, że wg. przepisu zawsze musi być podany powód. Jeżeli tutaj ktoś cieszy się z tego zwycięstwa, że to ni- by postęp, to muszę dać uzasadnienie, bo to już jest naiwność wręcz szkodliwa. Nawet dziecko wie, że każdy zbiór przepisów, zawiera u nas, na końcu albo na początku, je- den przepis - werek i do tego werka można wrzucać absolutnie wszystkie przypadki i interpretować je jak kto chce. Co ja mówię? - jak kto chce - jak władza chce. Praw- da? Na przykład, jest taki szalony przepis - ktoś mówi - w przepisach paszportowych. Muszą dać, odmowę - muszą uzasadnić. No to uzasadniają: ważne względy państwowe. Równie dobrze mogliby napisać: nie damy - bo nie! Na innej wystawie odrzucono mi ka- rykaturę Urbana, z uzasadnieniem, które brzmi jak żart, ale znów dają słowo honoru, że to prawda. Odrzucono karykaturę Urbana, powołując się na istniejący przepis, że nie wolno publicznie wyśmiewać ułomności fizycznych.

Cenzura jest oczywiście przeżytkiem burżuazyjnym i w przyszłym marksistowskim ra- ju ma nie być cenzury. Jak to ma wyglądać w praktyce już dziś możemy obejrzeć w Cze- chošłowacji. O ile mi wiadomo, tam nie ma cenzury oficjalnej. Tam każdy redaktor, jest cenzurą i każdy, kto decyduje o najdrobniejszej bodaj publikacji ma obowiązek cenzurowania. Oczywiście, trzesąc się ze strachu przed ewentualną odpowiedzialnością skreśla wszystko. I to jeszcze nie jest idealny układ. Idealem, do którego dąży wła- dza, jest cenzor w mózgu każdego obywatela, a w dalszej przyszłości jest tylko cen- zor bez mózgu, mózg mieszkańcom raju nie będzie potrzebny. Nie będzie - to należy traktować jako taki zwrot retoryczny. Ja nie wierzę, że tego nie dojdzie. Ja nie wierzę w upadek ludzkości, na razie wierzę w odwrócenie Czechów i Słowaków. A jak da- leko jesteśmy od ideału przedującej ideologii, to chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć. Oczywiście, pan Urban i jego koledzy uparcie do ideału dąży. Nie wiem jak jest w tej chwili w redakcjach państwowych, ale nie przypuszczam, aby cenzura miała tam wiele do roboty. Wyrećają ją redaktorzy. Najbliższy ideału jest na pewno Radiokomi- tet. Tutaj polityka kadrowa władz świadomie dążyła do wymarzonego modelu od wielu lat, stosując nawet coś w rodzaju szkolenia praktycznego. Zauważyłem, po raz pierw- szy jeszcze w czasach programu "małżeństwo doskonałe", że w każdej redakcji tele- wizyjnej, z którą mam coś wspólnego urzęduje jakiś redaktor, który właśnie prze- szedł do telewizji z cenzury. Potem w radiu okazało się to samo. Czyli najpierw staż czy przeszkole w cenzurze a potem praca twórczo-redakcyjna w radiu i tele- wizji. W przyszłości, być może naturalną drogą kariery, będzie najpierw dwa - trzy lata w cenzurze, a potem do Związku Literatów, powieści pisać. Na szczęście obecny Związek Literatów nie ma nic wspólnego z literaturą, czytelnicy zaś książek do czy- tania nie szukają w państwowych księgarniach. I to jest sukces prawdziwy, w odróż- nieniu od sukcesów pozornych, za jakie uważam boje z cenzurą na płaszczyźnie praw- nej. Chciał ich, bracie Boże, nie potępiać, choć tylko przestrzec przed przecenianiem. Wiele jest dróg - stwierdził kiedyś słusznie skazaniec Najder. Uważam, że to stwierdzenie bardzo słuszne.

Zaprzysiężniczy cenzor dostarczył mi kiedyś coś w rodzaju puenty do moich rozwa- żań o przepisach. Zaprzysiężniczy - nasze kontakty trwają już ponad 20 lat - nie ma- wie tego z ironią. Nazwiska nie wymienię, bo powiedziałem, że zaprzysiężniczy, więc bym mu zaszkodził. On mi kiedyś powiedział, że nawet jeżeli on coś zwolni /to jest taka ich terminologia - my mówimy "puścili", a oni "zwolnili"/ to, to i tak nie za- łatwia sprawy, bo jest takie prawo, że każdy obywatel może się nagle poczuć urażony w swoim obywatelskim sumieniu jakimś tekstem, rysunkiem, wypowiedzią publiczną i władza ma obowiązek interweniować. Coś w rodzaju swiście rozumianego "liberum veto". Oczywiście tym obrażonym obywatelem może być i najczęściej bywa, każdy funkcjonariusz. Ponieważ funkcjonariusz to przecież też obywatel, kto wie może nawet bardziej niż kto inny. Tak więc w praktyce wszystko może być w każdej chwili lege artis skonstruc- wane. Tu potwierdza się zasada, którą kiedyś sformułowałem w radiowym felietonie. System prawny jest tak skonstruowany, że wszyscy jesteśmy przestępcami i każdy może być pociągnięty do odpowiedzialności, za to, że żyje.

Być może to, że się zaprzysiężyłem z cenzorem może kogós z Państwa zaskakuje, bo ktoś sobie może wyobrazić mnie jako ekstremistę z nożem w zębach, a w każdym razie jako człowieka zastygłego w zimnej nienawiści. Nic błędniejszego. Jestem ogarnięty mi- łością bliźniego, wliczając w to całą władzę. Korzystając z okazji, oświadczam publicz- nie, że w przyszłości ze wszystkich sił będę walczył o to, aby w stosunku do skaza- nych, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej skrzętał z prawa łaski. Można mnie trzy-

mać za słowo. Na razie zaś bardzo bym nie chciał, aby moje dotychczasowe wywody sugerowały, że żywię nienawiść do cenzury lub co gorsza, że staram się skanalizować ogólny gniew kierując pretensje do tej instytucji. Cenzura nie jest państwem w państwie, nie jest jednostką samodzielną, nie jest ciałem społecznym, nie jest nawet biurokratycznym stróżem pilnującym skrupulatnie, aby respektowane były przepisy, czy inaszej "słupki cenzuralne". Cenzura jest typowym dla systemu totalitarnego ciałem całkowicie dyspocyjnym, firmującym dowolne decyzje władzy. A pracują w niej ludzie tacy sami jak my, może tylko trochę słabsi. Kończy facet studia prawnicze, trona, dwie dzieci, zapropenwali pracę - przyjął. Robi co mu każą, nie własnej inicjatywy, żadnej nadgorliwości. Nie pochwalam takiej postawy, ale czy mam człowieka od razu nienawidzić? Władza bardzo by chciała, żeby nienawidzić, bo władza takich jak ten cenzor bci się też i chce ich trzymać za twars także i naszymi rękami. A tymczasem to nie są tak na pewno ich ludzie i nie wolno nam pochopnie rzucać ich w objęcia władzy. To są ci, którzy w momencie przełomu mogą być z nami. Taka jest być może większość w społeczeństwie a na pewno większość wśród tych, których władza dziś uważa za swoich. Obserwowałem cenzorów w chwilach zwrotów dziejowych. Widziałem z jaką radością, autentyczną prywatną radością "zwalniali" gdy tylko mogli. W roku 55-tym jeden z gdańskich cenzorów walnie przyczynił się do uzyskania zgody na premierę wspomnianego już na początku, teatru "Bim - Bcm", za który w tamtych czasach właściwie wszyscy mogliśmy pójść do więzienia. To był zresztą ten sam cenzor, który kwestionował psa. W roku 81-szym jeden z moich felietonów w "60-tych" wyrzucony przez redaktora, wstał wklejony do audycji z powrotem, bo poprosił o to cenzor. A wolny wójstr. System totalitarny jaki nam narzucono jest najdroższą w dziejach ludzkości formą panowania mniejszości nad większością. Jego siła polega na tym, że potrafi uwiązać w służbę sobie także i swoich przeciwników. Przecież armia, która w grudniu wystąpiła przeciwko swemu narodziwi składała się z naszych synów. Na tym polega siła totalitaryzmu, ale na tym polega też jego słabość. Upadek imperium zła jest nieuchronny, ale nie opóźniajmy go naszą nienawiścią, szczególnie tą że skierowaną. Kochajmy cenzorów! Dziękuję.

Jacek FEDOROWICZ

UWAGA!!! patrz str. 24

### O CZYM MYŚLI CZERWONY? - czyli O DAJSZY ROZWÓJ ROZWINIĘTEGO SPOŁECZEŃSTWA NIEWOLNICZEGO

Złotliwy udzieliłby od razu prymitywnej odpowiedzi, że nie myśli w ogóle. My mogli byśmy odnieść tę odpowiedź jedynie do tw. Czernienki. Poza tym, to tak w ogóle nie wiemy o czym myśli komunistyczny aparat. Ponieważ jednak wpadliśmy na trop jednej dość słabej myśli, postaramy się ją w miarę wiernie przekazać, opatrując krótkim komentarzem. Myśl owa, krąząca po różnych "obozowych" barakach ostatnio wypłynęła w kręgach trzech peerelowskich resortów /peerel - przypomnijmy - to najbardziej luksusowy barak w "obozie": w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Ministerstwie Oświaty i Wychowania.

Przebieg jest podobny w stadium narad, namysłów i "konsultacji" a ewentualnie ma się przebiec w projekty dwóch ustaw.

W Ministerstwie Pracy i Spraw Socjalnych powstał projekt ustawy o zwrocie kosztów wykształcenia. Nie będziemy przytaczać projektu w całości, lecz jego główne założenia. Zgodnie z art. 1 ust. 1 "Obywatele polscy, którzy ukończyli zasadnicze szkoły zawodowe, średnie szkoły zawodowe i równorzędne, szkoły wyższe lub studia doktoranckie, szkoły wyższe lub studia doktoranckie za granicą na podstawie umów międzynarodowych o kształceniu obywateli polskich za granicą, zwani dalej "absolwentami", obowiązani są do świadczenia pracy w zakładach pracy gospodarki uspołeczniczej". Według ust. 2 "Absolwent, który bez usadniczej przyczyny nie przepracował w zakładach pracy gospodarki uspołeczniczej co najmniej 10 lat może być obowiązany do zwrotu Skarbowi Państwa kosztów wykształcenia". Dotyczy to także uczniów i studentów ostatniego roku, którzy nie ukończyli nauki "bez usadniczej przyczyny". Zgodnie z art. 2 ust. 1 "Orzeczenie o zwrocie kosztów wykształcenia następuje w formie decyzji, jeżeli absolwent uchyla się od wykonania pracy w zakładach pracy gospodarki uspołeczniczej". W myśl art. 5 z wnioskiem o zwrot kosztów wykształcenia ma wystąpić organ właściwy do spraw pośrednictwa pracy po powzięciu wiadomości, że absolwent między innymi nie dopełnia obowiązku wynikającego z ustawy z 1982 roku o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy bądź nie podejmując

pracy w jednostkach gospodarki społecznej. Te "przewzięcie wiadomości" na ciele się na dencach. W uzasadnieniu projektu stwierdza się bowiem, że nie przewiduje się wprowadzenia systemu ujawniania osób, które mogą być zobowiązane do zwrotu kosztów wykształcenia, lecz "województwie w zależności od sytuacji na rynku pracy oraz stopnia występujących potrzeb /co za języki/ na pracowników, będą mogli w większym lub mniejszym stopniu uaktywnić źródła informacji o osobach, które powinny być zobowiązane do zwrotu kosztów wykształcenia /Mr, komitety rodzinne, zakłady pracy itp./ Rada Ministrów może jednak w drodze rozporządzenia ustalić kategorie absolwentów, do których przepisów ustawy nie zastosuje się w związku z m.in. nie podejmowaniem pracy w zakładach społecznych /art. 8/. Również ustawa ma nie mieć zastosowania do wszelkich szkół finansowanych z innych źródeł niż państwowe i spółdzielcze. Ustawa ma mieć zastosowanie do absolwentów, którzy ukończyli szkoły po 30 czerwca 1982 r. /art. 11/.

W uzasadnieniu podnosi się, że zobowiązanie do zwrotu kosztów wykształcenia od miejsce wówczas, gdy absolwenci "nie rekompensowali społeczeństwu poniesionych na kształcenie nakładów". Ustawa ma służyć ograniczeniu "możliwości zatrudnienia absolwentów w niespółdzielczych zakładach pracy oraz podejmowaniu pracy na własny rachunek, w dziedzinach które nie są niezbędne w życiu /powinno być: zdrowie/ gospodarczym kraju". Na koniec stwierdza się, że projekt nie powoduje wzrostu kosztów świadczeń z jego realizacją, a wprost przeciwnie, z tego tytułu są przewidziane wpływy do Skarbu Państwa rzędu kilkuset milionów złotych".

Dlatego nie można uznać projektu jako formy zwykłej odpłatności za studia. Przecież w całym cywilizowanym, normalnym świecie często za studia się płaci. Tak, ale czym innym jest płacenie za naukę, a czym innym oddanie w niewolę pracodawcy za dług z swej nauki wynikający. Wówczas praca nabiera charakteru przymusu wobec fizycznego, co zwłaszcza w warunkach liczenia kosztów z "sufitu" będzie obciążeniem na całe życie.

A przecież prawdziwe cele ustawy są nad wyraz jasne:

1. uproszczenie systemu denców.
2. zniszczenie niespółdzielonej, prywatnej gospodarki, w szczególności indywidualnego rolnictwa.
3. premiowanie służalczości.
4. pełne uzależnienie ekonomiczne ludzi oraz dalsza ruina gospodarki.
5. zarobki nie kilkuset milionów złotych /zapewne na finansowanie Hitarani/.

Drastycznie materializuje się ta sama myśl w innym resorcie, w MSWiS, który ten powstałe projekt o przymusowym podejmowaniu pracy przez absolwentów szkół wyższych nie podlegających obowiązkowi odbywania służby wojskowej - czyli bezwzględnie ustawa o niewolnictwie.

Dotyczyć ma ona wszystkich absolwentów /i absolwentek/ nie przeliczających obowiązku służby wojskowej po studiach.

"Dla zapewnienia równości sytuacji oraz dążeniu do spełnienia postulatów wysuwanych przez społeczeństwo, w tym w szczególności realizacji zasady wychowania przez pracę oraz drasknalenia obowiązującego obecnie systemu zatrudniania absolwentów, proponuje się wprowadzenie obowiązkowości podejmowania pracy przez absolwentów szkół wyższych, którzy nie podlegają obowiązkowi odbywania służby wojskowej lub zostali z tego obowiązku zwolnieni. Dotyczyłoby to ok. 16 tys. absolwentów i 22 tys. absolwentek". Absolwenci byłoby przymusowo wcielani do różnych dziedzin gospodarki na okres 12 miesięcy /1 rok/. Mogliby być zbiorowo zakwaterowani. Praca odbywałaby się w formie zorganizowanej bądź na podstawie indywidualnych umów o pracę. Przewiduje się wariant pracy jak przy zastępczej służbie poborczych, co dawałoby uposażenie jak dla szeregowych zasadniczej służby wojskowej, bezpłatne oddzielenie wyżywienie, odzież ochronna itp. Absolwenci uchylający się od takiego obowiązku pracy byłby traktowani jak osoby uparczywie uchylające się od pracy /ustawa z 1982 r. - 30-31/.

W uzasadnieniu podkreśla się, że to rozwiązanie zapobiegłoby zaprzetykowaniu na robotników /w każdym miesiącu kilka tysięcy wolnych miejsc/ i wpłynęłoby korzystnie na terminowość kończenia studiów /sic!!!/. Wstępny projekt opracował sam Józef Bury, sekretarz Stanu w MSWiS. Ustawa o niewolnictwie ma służyć spełnieniu postulatów wysuwanych przez społeczeństwo. Ale pan Bury nie pisze wyraźnie jakie społeczeństwo ma na myśli /znaczy się: na poleceniu/. Ponieważ na pewno nie chodzi tu o społeczeństwo polskie, więc zapewne przeprowadzone w tej sprawie referendum w Warszawie.

Przedstawione powyżej projekty, będące rozpisaniem na paragrafy myśli tw. Lenina, Stalina, Andropowa i innych można zapatrzeć krótkimi uwagami.

1. Uzasadnieniem legalności czy nielegalności przedstawionych projektów ustawy nie

ma do się zajmować. Stwierdzenie, że owe "przepisy" są niezgodne ze wszystkimi Konwencjami międzynarodowymi "ratyfikowanymi" przez peerel, także z tegoż peerelu konstytucja, byłoby banałem i małą pociechą. W czasie okupacji niemieckiej, z punktu widzenia milicjów mordowanych ludzi być zapewne obojętne, czy byli zabijani nielegalnie, czy legalnie, choć Niemcy wydawali jakieś przepisy.

2. Komunizm wkrocza dość obcesowo w próżnię, która sobie przygotowała scjentystyczna Europa XIX i XX wieku ze swym rańszym społeczeństwem rzlicznych "izmów": socjalizmów, marksizmów, socjalizmów, faszyzmów, nihilizmów, podkopujących prawie dwutysięcioletnie chrześcijańskie korzenie. Niewolnictwo skńczyło się wraz z Rzymem /niewolnictwo jako system, a nie poszczególne przypadki brania w niewolę przeciwników pokonanych w bitwach/. Można jednak przypuścić /a przypuścić to już Tadeusz Konwicki w "Kompleksie polskim"/, że niewolnictwo antyczne było bardziej ludzkie, osobiste. Niewolnik poddany był wyłącznej władzy właściciela /człowieka a nie anonimowego systemu/, a ten mógł go zabić, lecz także i wyzwolić. Mógł obdarzyć dobrem. Chrześcijaństwo niewątpliwie podkopało instytucję niewolnictwa /nasączając stosunek właściciel - niewolnik, ładunkiem chrześcijaństwa, uwielbiając sprzeczność takiego układu z prawem Bożym/. Feudalizm i jego system ustrojowy niewolnictwa nie mógł już przystać. Nie bardzo więc wiemy skąd wzięły się w peerelowskich urzędach dzielne "zielone ludziki" - czyżby z "innego świata".

W tym wszystkim pocieszające jest tylko to, że życie jest zawsze silniejsze od przepisów - zwłaszcza tak haniebnych.

KOMUNISTY RYZ

### KONSTRUKTYWNA OPOZYCJA

W swym numerze 13 z 31 marca b.r. "TYGODNIK POWSZECHNY" zamieścił rozmowę na temat ordynacji wyborczej do tzw. sejmu peerelu. W rozmowie udział wzięło trzech, a może nawet czterech przedstawicieli konstruktywnej opozycji. Niepewność co do liczby uczestników wynika z tego, że choć dyskusję opracował Marcin Król, to głosu w niej nie zabrał, jeśli nie liczyć podziękowań złożonych uczestnikom rozmowy. Zostawmy więc na boku tego skądinąd wybitnego znawcę doktryn politycznych i zajmijmy się uczestnikami właściwymi. Saa nimi: Edmund Osmańczyk, Stanisław Stomma i Jerzy Ciemniewski. Pierwszy jest od wielu lat posłem do "sejmu", a w opozycji raczej od niedawna. Drugi od 57 do 76 roku był liderem "sejmowego" koła "ZNAK". Trzeci nie miał jeszcze szczęścia korzystać z pselskich diet. Trzem panom nie podoba się pewne rozwiązanie prawne obecnej ekipy rządzącej peerel, a w szczególności przedstawiony przez władzę projekt ordynacji wyborczej. Jeżeli porówna się ich opinie z rzeszonymi opiniami prasy reżimowej lub dyskusjami w niej prezentowanymi, to oczywiście głosy konstruktywnych opozycjonistów brzmią znacznie poważniej. Jerzy Ciemniewski wręcz stwierdza:

"Co do wariantów przedstawionych w zakończeniach to już sam sposób myślenia o ordynacji wyborczej wywołuje uczucie zażenowania /.../ Pomysł nadania biernego prawa wyborczego ludziom osiemnastoletnim w kraju, w którym nie ma żadnego organizmu politycznego, w którym ludzie tak młodzi mogliby się nawet nie sprawać, ale choćby ujawniać jest dowodem na to, że autorzy założeń nie zawsze podchodzili do nich poważnie".

W tym zdaniu tkwi chyba istota problemu. Opozycja konstruktywna to jedyna grupa, która traktuje peerel, jej prawa i instytucje poważnie. Nie traktuje tego poważnie ani tzw. szary obywatel, od polityki raczej stroniący i szukający różnych "drog" do deficytowych dóbr i usług, ani opozycja niepodległościowa, ani przede wszystkim sam rząd. Nawiasem mówiąc, coś to za wspaniała ekipa komików. Jaruzelski - Buster Keaton, Rakowski, Kiszczał, Obcłowski - Bracia Marx, Krasiński - Harold Lloyd, Gucwa - Luis de Funés, Urban i Olszewski - Flip i Flap. Najwybitniejszy obecnie komik amerykański Mell Brooks zaproponował podobać całej ekipie "en bloc" wystąpienie w jego najnowszej komedii pt. "Junta", oferując 20 mln. dolarów. Będą to jedyne twarde pieniądze możliwe do zdobycia przez tych panów na Zachodzie.

Poważne traktowanie prawnych gwarancji i zobowiązań komunistów oraz ich instytucji, to znana ułomność konstruktywnej opozycji. Nic nie będę mówił o Ciemniewskim. W "sejmie" jeszcze nie był, może jest naiwy, może chce spróbować. Ale Stomma i Osmańczyk w "parlamencie" już posłowali, a drugi przebywa tam nawet do dziś. Jasne, że w pewnym wieku trudno jest się przestawić. Człowiek przywyka do wygod, a siedząc okrakiem na barykadzie można nawet utrzymać oklaski od obydwu stron zaangażowanych w tę polską "guerre". Spójrzmy jednak choć przez chwilę poważnie na to, co proponują nasi kandydaci na mężów stanu:

- Aby kandydatów mogły zgłaszać wszystkie organizacje, działające legalnie, a dokładnie te, które "stoją na bazie konstytucji", jak to pięknie ujął Osmańczyk.
- Aby do "sejmu" dostać się 15-20% posłów bezpartyjnych. Jaka w nich część ma stanowić konstruktywna opozycja nie sprecyzowano, ale chyba nie 100%.
- Aby okręgi były zasadniczo jednomandatowe.

Komentarz do powyższych postulatów jest chyba zbytyczny. Dyskutanci prawie nie mówią o samym akcie wyborczym, skupiając całą uwagę na ustaleniu list kandydatów. Świadczy to o tym, że nie są wcale tacy naiwni, za jakich chcieliby uchodzić. Wiedzą dobrze, że także po uwzględnieniu ich w końcu niewygodnych postulatów, wyborca nie będzie miał żadnej rzeczywistej alternatywy, chyba że za taką uznamy - iść do wyborów, czy pozostać w domu. Ale do tego nie potrzeba przecież żadnych zmian w ordynacji. Istota wyborów sprowadzać się będzie, tak jak i poprzednio, do manipulowania listą kandydatów. Oczywiście byłaby to wciąż jedna lista wyborcza. Opozycjoniści konstruktywni mają po prostu chęć wziąć w tych manipulacjach udział. Sakra tylko, że nie piszą tego wprost.

Jedno mnie tylko zastanawia. Opozycja konstruktywna od kilku lat robi cko do czerwonych, krzyże biodrami i mówi: "Bierz mnie, póki jestem młoda". Czerwoni zaś nie. Świadczy to chyba o kompletnym uwiąznięciu starczym tej władzy.

Alfa and omega

### STRAJK!!!

Planowana przez komunistów na dzień 1 marca podwyżka cen żywności uderzająca ekonomicznie w każdą polską rodzinę, a ze szczególną siłą w pracowników najętych do pracy przez peerel spotkała się z reakcją "SOLIDARNOSCI". TTK i Lech Wałęsa wezwali do piętnastominutowego symbolicznego strajku powszechnego - tak krótkiego, by - zdaniem Lecha Wałęsy - nie przyczynić się do dalszej ruiny peerelowskiej gospodarki /jak gdyby jakiegokolwiek destrukcyjne działania mogły tu jeszcze zaszkodzić/ nie dając zarazem czerwonym argumentów propagandowych. Apel ten - początkowo przyjmowany sceptycznie - zyskiwał jednak na poparciu w miarę przybliżania się fatalnego terminu wprowadzenia podwyżek. Emocje i nastroje społeczeństwa przybierały bowiem na sile. Chęć oporu przeciwko dalszej obniżce stopy życiowej wydawała się na tyle duża, że mogliby to być pierwszy od dłuższego czasu udany strajk. Tym bardziej, że cel był bardzo jasny i dla wszystkich zrozumiały. O wiele trudniej jest strajkować, gdy celem takiej akcji są postulaty polityczne dla wielu jeszcze bardzo enigmatyczne, nieprzekonywujące i niebezpieczne. O wiele łatwiej podjąć decyzję wyłączenia maszyny jeżeli ma się w perspektywie zatrzymanie w kieszeni kilku tysięcy złotych miesięcznie. Zakłady pracy przez cały miesiąc dosyć starannie przygotowywały się do tej akcji protestu. Przykładem tego niech będzie Kombinat Nowchucki, zakłady pracy Wrocławia, Gdańska i Warszawy. Wydrukowano masę ulotek, które później kolportowano wewnątrz zakładów narażając się na niebezpieczeństwo. Powódzenie strajku /wg. naszego rzecznicarstwa bardzo duże/ miałyby także to znaczenie, że przełamałoby psychologiczną barierę leku powstałą po następujących po sobie nieudanych strajkach w latach ubiegłych, co na pewno zapewnienia komunistów, że podwyżka cen będzie znacznie niższa od zaplanowanej, a poza tym, że zostanie wprowadzona etapami, nie czekając na finał rozgrywki odtrąbili natychmiast swoje zwycięstwo - czyli wycofanie się Jaruzelskiego z operacji podwyżek cen i odwołali strajk, nie pierwszy raz wypuszczając powietrze z nadmuchanego uprzednio balona. Niektóre zakłady pracy nie podporządkowały się tej decyzji i zastrajkowały. Były jednak osamotnione. Czerwony natomiast w kilka dni później ogłosił podwyżki niewiele różniące się wysokością od przedstrajkowej wersji, nieznacznie tylko rozkładając je w czasie. Okazało się, że zastosowany przez komunistów manewr był niezwykle skuteczny, gdyż opadnięcie nastrojów po nieudanym strajku pozwoliło czerwonemu bezpiecznie wprowadzić wszystko co wcześniej zaplanował. Ratowanie sytuacji przez ogłoszenie 1 kwietnia /!!!/ dniem protestu robotniczego przeciw obniżaniu stopy życiowej pracujących było już tylko podzwonem wcześniejszych radykalnych nastrojów. 1 kwietnia w zakładach pracy nie działać się nic takiego, co byłoby godne odnotowania. Na wezwanie podziemnej "S" tłumnie stawili się jedynie oddziały ZOMO w pełnym rynsztunku, aby odstać swoje pod bramami dużych zakładów pracy. Poza tym panował niszczący zmęczony spokój. Można mieć tylko nadzieję, że kolejny, zapowiedziany na czerwiec strajk powszechny będzie dłuższy niż rwe 15 minut... i nie zostanie odwołany. Co naj-

watniejsze, można liczyć, że kolejne podwyżki kosztownie zradyzalizują nestrzeżone by mogły się one zamianować w formie masowej. Udane strajki byłyby niezwykle ważnym elementem strategii walki z czerwonymi zarówno na płaszczyźnie związkowej jak i politycznej. Są one przede wszystkim możliwe do zrealizowania, a to jest ich najważniejszy atut. Komuniści obawiają się strajków i to nie dlatego, że przyniosą one jakieś wymierne straty gospodarce państwowej - tym problemem czerwoni już dawno przestali zawracać sobie głowę - lecz dlatego, że zakłócają one telewizyjny obraz normalizacji i niekorzystnym echem odbijają się zarówno w Moskwie jak i na Zachodzie. Jaruzelski chce spokoju, gdyż od normalizacji w znacznym stopniu uzależniony jest zarówno amerykański kredyt, jak i kredyt /zaufania/ u Gorbaczowa. Strajki mają ten sielankowy obraz, a jednocześnie zmuszają władzę do sięgania do kieszeni na pokrycie robotniczych rewindykacji ekonomicznych. Dlatego też uważaliśmy i nadal uważamy strajki ekonomiczne za jedną z najskuteczniejszych broni dostępnych zakładom pracy. Pod jednym warunkiem - muszą być one starannie przygotowane z jasno określonymi żądaniami. Należy więc w ramach rozmów z dyrekcjami zakładów pracy wypracować przede wszystkim przywrócić uposażenia rekompensujących galopującą inflację i tak długo przeciągać czas przesłajów w pracy, jak długo żądania te nie zostaną spełnione. Praktyczne sążnienie żądań robotniczych w jednym zakładzie pracy, czyli wygrana batalia z państwowym przedsiębiorstwem odważni pracowników innych zakładów pracy do pójdzie w ich ślady. Jest to metoda szarpania czerwonego, która skutecznie stosowana da, oprócz ekonomicznych korzyści, również korzyści innej natury, choćby psychologicznej. Jedną jest pewną - często powtarzającą się w różnych miejscach Strajki zmuszą czerwonych do opracowania nowej strategii przeciwdziałania, co przy powszechnie znanych umiejętnościach rewizyjowania przez komunistów sporów ze społeczeństwem musi doprowadzić do dalszej radykalizacji i przedłużenia gdzie niegdzie już gasnącego ogaru. My wszyscy podejmując mniej lub bardziej udane ekonomiczne strajki uczymy się od nowa trochę już zapracowanej organizacji, a przez tym przekonujemy się, że wspólnym wysiłkiem możemy jeszcze czegoś dokonać. Takim przykładem protestu był strajk zorganizowany w pierwszych dniach marca w zakładach Kóży Luksemburg przez zatrudnione w nim kobiety. Nie mamy jeszcze pełnych danych co do konkretnych efektów tego zrywu, lecz można sądzić, że nawet gdyby nie przyniosł on żadnych korzyści, to w najbliższym czasie zostanie powtórzony z wykorzystaniem doświadczeń poprzedniego. Dodatkowo strajki zorganizowane przez KZ"Ś", również i te które kończą się niepowodzeniem kompromitują w oczach sążni nowe związki, które miały bronić interesów sążni z reguły pracodawców. A przeciwko szkodliwej izolacji pracowników, to również dotyczyć widoczna forma walki z czerwonym. Gdyby jednakże do rewindykacji ekonomicznych dodawać żądania zwolnienia więźniów politycznych, przynajmniej z terenu swojego zakładu pracy, strajki nabrałyby wyrazu. Stałyby się z jednej strony walką robotników o ekonomiczne przetrwanie, z drugiej strony wyrazem solidarności z tymi, którzy wcześniej zostali wyłapani przez agentów SB, chociażby podczas rozprawiania ulotek na terenie miejsca pracy. Walka ekonomiczna - także poprzez strajki /nie zapominajmy, że ze strajków zrodziła się "SOLIDARNOŚĆ"/ - wydaje się właściwym zajęciem dla związku zawodowego, nawet podziemnego, pod warunkiem właściwego wybrania momentu protestu i konsekwentnego jego przeprowadzenia. Wcześniej czy później i tak musimy wygrać - a wygrać nie można, gdy się jest zastraszoną i bezczynną.

Wacław WOJENNY

GDZIE GŁOWA, GDZIE NOGI, GDZIE OGON?

przedruk "BAZA", nr 3/20, marzec 1985, Warszawa, str. 2-4

Na zewnątrz całej Polski, ba! sporej części świata, przeprowadzono u nas operacje tak intensywnego odwracania kota ogona, że dziwne by było, gdyby tego czarna bieda temu kotu całkiem nie urwana.

Arwa o procesie morderców księdza Ropiechuski. Liczne podejmowane próby odpowiedzi na pytanie: "Dlaczego doszło do tego procesu?" Żeby to rozstrzygnąć, trzeba by jednak mieć wiedzę o zakulisowych wydarzeniach, której nam brak. Nawet na pytanie: "Jak ten proces przebiegał?" nie możemy dać odpowiedzi tak, by przyszedł nam wykładanie wódki faktów, bośmy w Toruniu nie byli, zaś do relacji w prasie, radio i TV - a raczej tzw. zasłuchaniu w naszym obcowaniu z tymi środkami przekazu - podchodzić musimy nieufnie i powściągliwie. Jedyną właściwą pytanie, na które odpowiedź możemy wyłożyć w oparciu o fakty, brzmi: "Co nam z tego procesu przekazano?". Pe-

nie ma już środki przekazu są w naszym kraju w rękach władzy, przekształcić można to pytanie następująco: "Co nam władza chciała z tego procesu przekazać?"

1. Po pierwsze, że aparat władzy - w szczególności MSW - działa praworządnie, zaprzeczanie ks. Popiełuszki stanowiło drastyczne odstępstwo od norm postępowania tego aparatu. Przypomnijmy w związku z tym zachowanie milicji na ulicach podczas pokojowych demonstracji, zatłuczenie na śmierć przez milicję G. Frsenyka, sposób postępowania z zatrzymanymi w komisariatach i aresztach, pobicie internowanych w Kwidzynie, poprzednie wypadki uprowadzeń i pobicia przeciwników politycznych, szkodny wpływ rodzin osób niewygodnych dla władzy /np. sprawa żony 4. Janasa czy T. Jodyna/, uniemożliwienie podjęcia pracy wielu byłym więźniom politycznym, sterczące powszechnie praktyki szantażu, zastraszania i przymusu fizycznego dla swobodnego współprawników milicji. To tylko niektóre z brutalnych metod działania władzy - wiele przejawów bezprawia jest dla nas tak powszednich, że nie zwracamy na nie w ogóle uwagi.

2. Po drugie, że winę za napięcia w kraju ponoszą niektórzy księża i "Solidarność". Przypomnijmy w związku z tym, że winę za bezmiar nienawiści, w której przetrwała się Polska, ponosi władza, która wprowadziła stan wojenny, podeptała prawa obywatelskie, rozwiązała wszystkie autentyczne reprezentacje społeczne, zepchnęła nas do biedy i niedostatku, stosuje na codzień przemoc fizyczną i polityczną dla utrzymania swych rządów. Przypomnijmy też, że siłą najbardziej zdecydowanie wywołująca do działań wolnych od nienawiści, do dialogu i porzucenia przemocy był i pozostaje Kościół; postawa ks. Popiełuszki nie była odstępstwem od tej linii, lecz przeciwnie - jej najbardziej konsekwentnym wcieleniem. Ani jedno słowo księdza Jerzego nie wywołuje do gwałtu; jeśli wezwanie księdza do trwania przy prawdzie dyktatura odbiera jako zagrożenie dla siebie - nie jest to wina prawdy ani księdza, lecz dyktatury. Przypomnijmy też, że i "Solidarność" od swego powstania do dziś walczy metodami pokojowymi, że doprasza się rozmów i dialogu, że w chwilach napięć stanowi czynnik stabilizujący sytuację w kraju. Przemoc, bezprawie i nędza - trzy główne tary naszych władz - mogłyby utoczyć znacznie więcej polskiej krwi, gdyby nie ze wszech miar powściągliwa i odpowiedzialna postawa Kościoła i "Solidarności".

3. Po trzecie, że postać księdza Popiełuszki nie jest godna legendy, którą obrała w sбирцевей świadomości Polaków. To jedna z najbardziej chytrych manipulacji, jakie przedsięwzięte w tej sprawie. Próbowano obrzydzić pamięć zmarłego, wylewając nad pomysł z kuchni przy ul. Rakowieckiej. A więc nadużycia finansowe, przynęty z kobietami, wystawny tryb życia... W tej sprawie nie będziemy nic przypominać. Dymkusja z tym ryszczkiem uwłaczałaby pamięci księdza Popiełuszki. Stwierdzony tylko, że nurzając się w tym ryszczku władze same odpowiedziały na pytanie, czy mordercy działali w izolacji i bez poparcia "góry".

4. Po czwarte, że zabójców sędził bezstronny, praworządny sąd. Przypomnijmy więc, że przewinający zespołu orzekającego Kujawa popełnił szereg nadużyć, za które powinien zostać odsunięty od sprawy Nieustannie używanie określenia "sprzeczna z prawem działalność Jerzego Popiełuszki" w sytuacji, gdy w żadnym postępowaniu sądowym nie stwierdzono, że ksiądz Jerzy łamał prawo, stanowił jednoznaczny dowód tendencyjności sędzię. Strofowanie przez pełnomocników oskarżycieli posiłkowych, że wniosek złożony przez nich wniosek jest zgodny z linią obrony a nie oskarżenia /chrześcijański wniosek w sprawie ekspertyzy jednego z dokumentów/ stanowi ewidentne wykroczenie przeciwko obowiązkowi bezstronnego sędzię. Ustawiczne utrudnianie działalności procesowej, jednej ze stron /oskarżeniemu posiłkowemu/ było takim samym przejawem stronniczości sądu. Listę można wydłużyć: manipulacja świadkami, tendencyjny do nich stosunek /na baczność przed gen. Płatkim, z pazurami na Seweryna Jaworskiego/ itd, itd. Szczególną wnikliwość sądu w tzw. "dochodzeniu do prawdy o motywach oskarżonych" sprawowała przekształceniem sądu w salę publicznej rozprawy z Kościółkiem, C4t, można by pochwalić tę wnikliwość. Foczo staje mieć nadzieję, że sędzia Kujawa orzekając w sprawie przeciw komuś z "Solidarności" będzie równie wnikliwy w kwestii motywów i dopuści do publicznych przemówień na temat stanu wojennego, przestępstw popełnionych przez władzę, źródła frustracji społeczeństwa oraz nakaze czytanie odpowiednich wypowiedzi Papieża, Episkopatu czy "Solidarności". Może będzie też równie chętnie słuchał świadków cytujących prasę zachodnią, jak chętnie słuchał gen. Płatka powtarzającego brednie jakiejś włoskiej gazety o współpracy biskupa Tokarczuka z Gestapo.

5. Po piąte, że w naszym życiu publicznym panuje jawność. Przypomnijmy więc, że jawność nie może współżyć z cenzurą. Ciężką ręką cenzora czuło się w każdym słowie,



przekazywanym w Polskę z toruńskiej sali. Jeśli odrzucić hipotezę, że wszyscy obecni w sądzie dziennikarze dostali zbiorowego fioka, to uznać należy, że sprawczdania krajowe ramiowały się ze stanem faktycznym, bowiem nie znajdowaliśmy w nich najciekawszych rzeczy przekazywanych przez agencje zagraniczne. Była to cenzura kilkustronnicowa, po pierwsze cenzura reżysera, który całe widowisko zaplanował, ustalił co się ma w nim znaleźć, a co nie. Jednym z ciekawszych ustaleń było, że odpowiedzialność kończy się na Pietruszce - zastępcy dyrektora departamentu. Ta teza obowiązywała wszystkich. Prokurator stwierdził, że przewodniczący sądu wykazał, że nie było żadnej "góry". Sędzia w tej kwestii nie wykazał tak wielkiej wnikliwości, jak w sprawie zbrodni Kościuszki i zadawał oskarżonemu pytania głównie według wzorca: "kiedy zrozumiał pan, że żadnej "góry" za wami nie było?". Oskarżeni - nawet jeśli coś tam płatali o jakimś wiceministrze - w chwilę potem odwoływali te zeznania i dostrocowali się w końcu do cenzury, to przewodniczący Kujawa. Zreżymowane zarządzanie przerw w niewłaściwych momentach, odpowiadanie świadkom "na to pytanie nie musi świadek odpowiadać", uchylanie wielu pytań i wniosków oskarżycieli posiłkowych - i w ogóle rewolucyjna czujność - to były mocne strony przewodniczącego sądu. No i cenzury szczebel trzeci czyli panowie z naczykami po redakcjach, pilnujący, żeby żadne niepożądane słowo nie dostało do widza, słuchacza czy czytelnika. Nie było to tylko prymitywne wycinanie niewygodnych kawałków. Było to także podsuwanie nam pod nos kawałków wygodnych. Tu nie chodziło tylko o schowanie prawdy o sprawie. Władza miała też program konstruktywny: chciała nam mówić nieprawdę o sprawie. Nieprawdę o księdzu Jerzym, o Episkopacie, o MSW, o władzy, o podziemiu. To nie była defensywa władzy, jakby się można spodziewać na podstawie - jakby nie było - niezręcznej sytuacji, w jakiej się ta władza znalazła. Nie, to była ofensywa przeprowadzona z dawno nie notowanym wigorem. Nie miejsce tu analizować różne mniej czy bardziej sprytne chwytły w tej ofensywie, fałsz całej operacji przecierał z niej wyraziście.

6. Po szóste, że liberałowie z otoczenia Jaruzelskiego chcą dobrze, tylko muszą się brykać z twardogłowymi z aparatu MSW, którzy ich zmuszają do ostrych posunięć. Krzywdnijmy więc, że ktoś kto potrafił wprowadzić stan wojenny, rozwiązać wielomilionowe organizacje, zapełnić więzienia, zniszczyć tysiące ludzi, dyktować jakiegokolwiek mu się zamarzy prawa - choćby najbardziej księżycowe - i jeszcze zapowiada, że zrepresjonuje Reagana i Mitteranda - nie miałyby kłopotów z wykopaniem paru niewygodnych facetów z tej czy innej instytucji, gdyby tylko chciał. Skoro tego nie robi - widać nie chce, widać mu dobrze z nimi. Jeśli zaś chce, tylko nie ma szajszajników - prosimy do nas. Jeśli pan generał powie w telewizji, że potrzebuje pomocy, żeby wziąć za pysk oprychów z MSW - "pomoczymy". Na razie rzecznik Urban stwierdził, że "MSW cieszy się pełnym zaufaniem partii i rządu". Ot, tyle by było o liberałach.

Kłamiwych też było jeszcze wiele, nie damy rady wszystkich tu wyliczyć. Wspomnijmy o jeszcze jednej, która przez jakiś czas będzie się jeszcze tłuc po gazetach i programach telewizyjnych. O tej mianowicie, że toruński proces świadczy o sile i dobrych intencjach władz. No bo przecież zapadły surowe wyroki. Owszem, zapadły. Ale jasne jest, że bez tych wyroków cała reszta byłaby niemożliwa. Jasne jest, że nie dało by się gładzić o praworządności w MSW i zwyrodnieniu księży, gdyby na koniec miało rzec dla Pietrowskiego np. grzywnę za przekroczenie szybkości. Jasne jest, że publice trzeba dać również jakąś satysfakcję. Surowe wyroki są kolorem opakowania, które ma nam ułatwić kupno trującej zawartości.

W. Tybura napisał w "Życiu Warszawy", że proces był szkołą prawnej edukacji społeczeństwa. Owszem, był w tym samym stopniu, w jakim działalność Tybura i "Życia Warszawy" jest szkołą dziennikarstwa i rzetelności informacji. To, że wydaje się gazetę nie znaczy, że się informuje; to, że się robi proces mordercem, nie znaczy, że istnieje praworządność.

Zaczęliśmy od wizji kota, którego odwracano ogonem tak brutalnie, że mu ten ogon urwane. Wróćmy do tej wizji na koniec. Oto stoi teraz władza z rzeczonym ogonem w ręku, macha nim i próbuje włożyć: "Patrzcie, kot!" Krzyjdzicie chyba niebawem moment, kiedy ktoś ze swiatłych ekspertów od propagandy szepnie w ucho najwyższemu szarżom: "Przesadziliśmy, że mocno ciągnęliśmy. Urwał się!" Władza postoi chwilę jeszcze z tym ogonem w ręku /patrz: Tybura/, po czym ciśnie go w kąt i chwyci za przedmiot, który jej znacznie lepiej leży w dłoń: pałkę.

Wśród dyskutowanych w prasie niezależnej "pomysłów politycznych" 1/ pojawiają się także projekty solidarnej współpracy w tocznej z komunistycznym zniewoleniem walce o wolność narodów... Ano właśnie! Narodów "BLOKU"? Narodów "Obczu"? Narodów "między-~~morza~~" 2/? Narodów Europy Środkowej i Wschodniej 3/?

Zaden z tych terminów nie wydaje się najszcześliwszy. Pierwsze dwa są na pewno zbyt nieprecyzyjne - państwa "Blok" /"Obczu"/ leżą przecież na czterech kontynentach tj. w Europie, Azji, Afryce i Ameryce /Środkowej/. Trzeci zbyt wąski - bo już sama sw-ja nazwa przywołuje skrajzenia z rozwijaną w latach dwudziestych w ramach polskiej polityki wschodniej "konceptja międzymorza" 4/. Czwarty zbyt szeroki - także w Europie, a nie tylko w Azji leży przecież Rosja, z którą wprawdzie chcielibyśmy mieć poprawne stosunki, ale którą traktujemy jednak jako inną jakąś.

Najlepsza by była nazwa precyzyjna a zarazem politycznie neutralna i nieobciążona żadnymi skrajzeniami. Termin "E U R O P A Ś R O D K O W A" narzuca się od razu. Przecież - jak pisze w swoim numerze programowych Zespół "GŁOSU" 5/ - Polska nie jest częścią Europy Zachodniej. /.../ Współtworzyliśmy wraz z sąsiednimi narodami Europę Środkową, której nie kształtował ani cesarski Rzym ani Konstantynopol. U podstaw wspólnoty Europy Środkowej leżała kultura polityczna, wyprowadzona z katolicyzmu, która w uni narodów, demokracji szlacheckiej, tolerancji religijnej widziała drogę do braku i dobrobytu".

Pojęciem tym posłużył się także Czesław MIŁOŚZ 6/, zwracając uwagę, że sprawa polska jest tylko fragmentem sprawy naszej części Europy - Europy Środkowej. "Nie przesuwam tutaj, żeby bronić tak zwanej sprawy polskiej - powiedział podczas wykładu wygłoszonego 11.XII.1982 r. na zakończenie międzynarodowej konferencji "Polska: Sierpień 1980 - niesłuszność i dynamizm społeczeństwa - moja część Europy, niesłusznie zwanej wschodnią, bo jest to Europa Środkowa, stanowi pewną całość geograficzną i kulturalną, a o wspólnej historii świadczą zabytki architektury średniowiecza, renesansu i baroku. Lasy jednego z jej krajów będą takie same jak krajów sąsiednich, należy unikać zamykania się w nacjonalizmie, bo służy on tylko władcem w imię starej zasady divide et impera" 7/.

W świetle tego co napisaliśmy powyżej, zdatując się z "GŁOSEM" i z Czesławem Miłozszem, naszą część Europy 8/ będziemy nazywali E U R O P ą Ś R O D K O W ą, widząc zarazem konieczność i potrzebę współpracy zniewolonych narodów w walce z dławiącym je systemem komunistycznym.

#### REDAKTOR DYŻURNY

- 1/ termin Macieja POLESKIEGO
- 2/ patrz publicystyka "WSN" - zwłaszcza "MIĘDZYMORZE" Marcina MLEGUSZOWIECKIEGO, "BYŁ NIEZALEŻNA", nr 2/21 - 1984, str. 5-8.
- 3/ termin używany dotychczas w naszej publicystyce.
- 4/ Po założeniu się planów federacyjnych, grupa polityków i publicystów skupionych wokół Józefa Piłsudskiego sformułowała koncepcję "międzymorza" lub - w węższym zakresie "polityki solidarności" - czyli współpracy politycznej państw bałtyckich: Finlandii, Estonii, Łotwy i Polski z państwami czarnomorskimi: Rumunia, Bułgaria i Turcja, a także Węgrami, Jugosławią i Grecją. Celem tej współpracy miała być solidarna polityka wobec ZSRR. Polityczne kierownictwo w tym bloku miała spełniać, ze względu na swój potencjał, Polska. Koncepcję tę próbowano, niestety bez większych rezultatów realizować na początku lat dwudziestych. /patrz: Marian LECZYK "POLITYKA II RZECZYPOSPOLITEJ WOBEC ZSRR W LATACH 1925-1934", PWN, Warszawa 1976/.
- 5/ "GŁOS", nr 2/43 - specjalny - maj/czerwiec 1983, "ZASADY".
- 6/ Czesław MIŁOŚZ "O FODBOJU", przedruk z londyńskiego "ANEKS-u" dokonany przez Wydawnictwo "UNIA", Warszawa 1984.
- 7/ dzieł i rząd
- 8/ zaliczamy do niej także Litwę, Łotwę, Estonię, Białoruś i Ukrainę.

#### INFORMUJEMY:

- Redakcję "TYGODNIKA MAZOWSZE", powiadającą w 116 nr swego tygodnika z 7.02.85 r. czytelników, że nieoficjalny organ KORu - "BIULETYN INFORMACYJNY", "było to pierwsze w tamtych czasach pismo wychodzące poza cenzurę, pierwsze wydawane drukiem, pierwsze red-pisywane przez redaktorów", że tylko ostatnie twierdzenie jest prawdziwe. W tamtych latach pierwszym wydawanym poza cenzurą pismem było "U PROGU". Ono też było pierwszym periodykiem powielanym technikami poligraficznymi. Natomiast "BIULETYN" - późniejszy jednak od "U PROGU", ukazywał się początkowo w wersji maszynopismiennej.

## P O C Z T A   D O   I   O D   R E D A K C J I

## NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

czyli parę pytań i uwag na marginesie ZAŁOŻEŃ PROGRAMOWYCH "NIEPODLEGŁOŚCI"

Ogólny kierunek ewolucji Założeń Programowych "Niepodległości" jest niewątpliwie interesujący i może budzić uznanie mimo różnic zdań jakie wokół niego powstają. W naszej obecnej sytuacji szczególnie kontrowersyjne wydają się punkty od 3 do 7 w rozdziale 1. "Jedność w różnorodności". Wysłunięto tam projekt utworzenia przez przestające w podziemiu ugrupowania polityczne i struktury społeczne sojuszu pod nazwą Ruch na Rzecz Przywrócenia Demokracji, a następnie powołania wyłącznie przez pierwsze z nich Podziemnego Porozumienia Politycznego jako reprezentacji tychże ugrupowań na Kraj i Zagranicę. PPP miałyby przy tym podjąć próby związania działań "Kraju, Emigracji i Polonii" w oparciu o "symbol polskiej państwowości - Rząd Polski w Londynie". To z kolei miałyby posłużyć do utworzenia "na tej bazie Komitetu Wolnej Polski /lub Polskiej Reprezentacji Narodowej/".

Nawet jeśli nie będziemy zajmowali się całością tej konstrukcji, trudno oprzeć się paru pytaniom raczej zasadniczym dla Ruchu Solidarności. Czemu ma tu służyć RNRPD, czyli po prostu połączenie sojuszem formalnym struktury Społeczeństwa Podziemnego, w których ugrupowania polityczne odgrywają przecież rolę raczej marginesową? Jakże mają być relacje między RNRPD a PPP? Czy przypadkiem nie chodzi tu o decydującą dla PPP, o sztuczne i skądinąd znane "montowanie" tzw. "szerokiego poparcia społecznego", o "poszerzanie bazy społecznej" dla PPP? Czy PPP nie byłoby w stanie działać bez poparcia ze strony RNRPD? Sojusze, bloki, fronty - analogie i skojarzenia nie najlepsze - BBWR, EJK, PROM a czyżby jeszcze RNRPD? Parawanowe megastruktury polityczne tworzone są tam, gdzie rzeczywistego poparcia społecznego brak. Przeciwnie ugrupowaniem politycznym mającym coś do zaprzeczania, będącym w stanie coś zdziałać i cieszącym się poparciem dostatecznej części opinii społecznej wystarczają - w najgorszej sytuacji - koalicje polityczne.

Jest i pytanie ogólniejszej natury - czy z ugrupowaniami politycznymi należy wiązać niezależne struktury społeczne, takie jak NSZZ Solidarność, Komitety Opcru Społecznego, Oświatę Niezależną, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczny Komitet Zdrowia, Komitet "elsiński", Komitet Obrony Praworządności i wiele innych struktur. By na to odpowiedzieć, trzeba przede wszystkim przypomnieć, że chyba nieprzypadkowo Ruch Solidarności jest ruchem społecznym a nie politycznym /używając tego słowa we właściwym znaczeniu, a nie przyoisanym mu w systemach totalitarnych/. Chyba nie przypadkiem ruch ten wyrósł na podwalinach położonych przez KSS KOR i NSZZ Solidarność, a nie przez organizacje polityczne. Wreszcie chyba nie przypadek sprawił, że mamy dzisiaj nie drugie Państwo Podziemne, ale pierwsze Społeczeństwo Podziemne, którego trzon stanowią struktury społeczne a nie ugrupowania polityczne. Spójrzanie na to wszystko, co zdążyliśmy stworzyć i osiągnąć w okresie minionych trzech lat tylko utwierdza w przekonaniu o słuszności wybranej drogi. Dlatego wszelkie próby wiązania niezależnych struktur społecznych z ugrupowaniami politycznymi / a w konsekwencji stopniowe przecierowanie całego ruchu/ muszą budzić coraz silniejszą nieufność i obawy, szczególnie jeśli pamiętamy zasadę "primum non nocere". NSZZ Solidarność przed 13 grudnia musiał brać pod swoje skrzydła związki ugrupowań politycznych takich jak WSN i KSN. Po zamachu grudniowym wszystkie niezależne ugrupowania i struktury uzyskały jednakowe prawa do swobodnego działania w ... podziemiu. Od tego czasu Związek nie musi i nie może rozciągać ochronnego parasola nad wszelkimi niezależnymi grupami a do tego - korzystając z przedgrudniowych doświadczeń - starannie unika wiązania się z ugrupowaniami politycznymi. Co więcej - wiele wskazuje na to, że także inne niezależne struktury społeczne skorzystały ze związkowych doświadczeń w tej materii.

Ruch Solidarności i bez formalnych sojuszy, bloków czy frontów jest dostatecznie zintegrowany wspólnotą ideałów, celów a nawet zgodnością co do zasad walki. Jak dotychczas i na szczęście różnice polityczne nie odgrywają w nim większej roli, jeśli powinno kontrowersje właśnie między ugrupowaniami politycznymi. Wiązanie już ukształtowanych i okrzepniętych niezależnych struktur społecznych z związkami partii politycznych, jakie przedstawiają sobą podziemne grupy polityczne, byłoby dla tych ostatnich niewątpliwie korzystne - choć i to na krótką metę. Natomiast struktury społeczne stałyby wobec groźby przeniesienia na ich teren podziałów i rywalizacji politycznych, co mogłoby utrudniać, hamować a nawet uniemożliwiać dalszy rozwój i skuteczne działa-

łanie. Ponadto prądem podziemnym strukturą społeczną niezbędne jest jak najdalej idące poparcie moralne i pomoc materialna zarówno w Kraju jak i zagranicą. Kontakty związków z ugrupowaniami politycznymi mogą to tylko ograniczyć i uzależnić od koniunktury politycznej.

Dając nie tylko do niepodległości, ale również do demokracji, budujemy pluralizm w szerszym tego słowa znaczeniu, a jeśli tak, to pamiętajmy, że nie wszystko i nie konieczne musi służyć polityce. Niezależność struktur społecznych jest podstawą autentycznego życia społecznego, zatem dajmy im żyć własnym życiem <sup>nie</sup> włączając ich w niebezpieczne związki z ugrupowaniami politycznymi. Jeśli te podejmują działania według rzadzenia społecznego potrzebne, celowe i słuszne, to niewątpliwie uzyskają poparcie bez uprzednich kontaktów.

Wiktor KULERSKI

#### NIEBEZPIECZNE CZY NIEZBĘDNE?

ODPOWIEDŹ WIKTOROWI KULERSKIEMU.

List od Wiktora Kulerskiego, mimo krytycznej oceny naszego programu, przyjęliśmy z dużą satysfakcją. Wynika to z dwóch przyczyn. Po pierwsze - nadawca jest wybitny działacz "S", zarówno z okresu jej jawnej jak i podziemnej działalności. Po drugie - jego opinie są typowe dla części działaczy podziemnej "S". Są przeważające dla działaczy, którzy w okresie legalnej działalności "S" zajmowali w niej eksponowane stanowiska. List W.K. pozwala nam przedstawić argumenty wobec ich poglądów.

Marzy nam się rzetelna analiza stanu dzisiejszej "S" dokonana przez któregoś z jej przywódców. Niestety przeważają mity i piękne słowa. Prawda jest taka, że z dawnej "S" nie zostało prawie nic. To, co się dziś nazywa podziemną "S" jest czymś zupełnie nowym. Z dawnym związkiem łączy ją tylko nazwa, która urosła do rangi symbolu. Tam gdzie istnieją podziemne komórki "S", ze względów konspiracyjnych nie są w stanie oddziaływać na większość zakładów. Nie spełniają zatem funkcji wolnego związku zawodowego. Nie można ich w żadnym wypadku porównywać z byłymi Komisjami Rebrtnościami w Hiszpanii, które to porównanie uprzedziwie funkcjonuje zwłaszcza wśród działaczy zbliżonych dawniej do KORu. Podziemni działacze w zakładach pracy przede wszystkim kolportują bibułę, ale także ją tworzą, dyskutują, organizują nowe struktury, odmienne od dawnych. Te ewolucje trzeba dostrzegać, jeżeli nie chce się pozostać w sferze mitów.

Jeżeli na ruch opozycyjny spojrzymy z punktu widzenia 16 miesięcy uznamy dzisiejszy stan za klęskę. Jeżeli jednak spojrzymy na to z dalszej perspektywy czasowej, uznamy za załamek trwałego procesu przekształceń politycznych zachodzących w Polsce, a także w całym bloku. Działacze wyższego szczebla "S" nie dostrzegają tego procesu. Nie chcą jednak uznać klęski i stąd ucieczka w mity o potężnym ruchu społecznym.

Polityczność lub apolityczność działań jest sprawą bardzo względną. Chyba większość z 10-ciu milionów członków wstępujących niegdyś do "S" miała świadomość aspektu politycznego swojej decyzji. Zgadżamy się natomiast z W.K., że nie wszystko musi być polityką. Uznajemy za grupy polityczne te, które mają programy zawierające postulaty dotyczące władzy, instytucji politycznych, wynikające z refleksji geopolitycznych. W tym sensie my jesteśmy od początku swojego istnienia grupą polityczną, jest nią także Polityka Polska czy WSN. Nie jest natomiast TKK, RKW czy Lech Wałęsa, który traktuje się zwykle jako instytucja co najmniej równorzędna dwóm pierwszym. Niezupełnie jasny jest charakter wielu organizacji międzyzakładowych wciąż przetrwujących się symbolem "S", ale coraz częściej formułujących programy polityczne. Nie wszystko musi być polityką, ale czy musimy ją potępiać? Upolitycznienie podziemia uważamy po pierwsze za fakt zachodzący, po drugie łatwy do logicznego wytłumaczenia, po trzecie pozytywny, po czwarte nie zagrażający autentycznej działalności związkowej. W swych artykułach /patrz: "Partia, związek, czy ruch społeczny"/ wzywaliśmy do jasnego sprecyzowania celów i charakteru działalności podziemnych organizacji, po to by związek zawodowy stał się prawdziwym wolnym związkiem zawodowym, a grupy o zacięciu politycznym ewoluowały w stronę partii politycznych. Upolitycznienie podziemia nie miało być absolutnie na celu stworzenia związków zawodowych według kryteriów politycznych, ale jasne sprecyzowanie granicy między związkiem zawodowym a partiami. Nałożona na politykę i polityczność anatema wciąż obowiązuje, wiadczyć to choćby z listu W.K. Utrudnia to proces programowego samookreślenia się grup, które do polityki się garną, a działalnością związkową nie interesują. Z kolei stawianie przez "S" celów daleko szerszych, niż związkowe, jej ambicje reprezentowania interesów i poglądów całego narodu utrudniają, żeby nie powiedzieć uniemożliwiają działalność autentycznie związkową.

Dr czasu potrzebna Polakom polityka pisaliśmy wielokrotnie. Choćby do tego, aby odwrócić się od polityki i biznesmenów zachodnim mówi, że w Polsce nie ma innej alternatywy, gdyż poza PZPK-em nikt nie ma programu politycznego.

Stwierdzony przez nas Ruch Na Rzecz Przywrócenia Demokracji kojarzy się W.K. z bardzo przedzielnymi rzeczami. Nam kojarzy się z analogicznymi /także do de maszy/ organizacjami w krajach niedemokratycznych /Chile, Pakistan/. Od czasu do czasu opowiada pewnego przemówić jednym głosem. Nie jest to sztuczne mentowanie jedności, tylko prawdziwe. KNRPD nie zastąpiłby istniejących różnych organizacji, nie stałby się też ich "wierzchołkiem". Mogłoby natomiast przedstawić jedno wspólne stanowisko np. wobec "wyborów" lub układów jaltabekich. Powtórzmy to, co już wielokrotnie mówiliśmy. PZPK nie zastąpi KNRPD, ponieważ może wyrażać się tylko w imieniu "S", która wcale formalnie jest związkiem zawodowym, a jej autorytet zdecydowanie się zmniejsza - wprost proporcjonalnie do spadku sprawności organizacyjnej.

W.K. podejrzewa nas o to, że "żeniąc" się z "S" w ramach KNRPD obok siebie przeliczając nasz prestiż. My natomiast podejrzewamy W.K. oraz innych wyścigaczy, że chcą za wszelką cenę zachować dla "S" monopol na przyszłość.

Wielokrotnie radziliśmy więc W.K. do postulatu utworzenia PPP. Twierdził, że fakt, że w Polsce istnieje społeczeństwo a nie państwo przedzielnymi, że to stanowiło nie ma szans bytu. Przyznajemy, że w pierwszym okresie stanu wojennego byliśmy świadkami utracenia państwa przedzielnymi. Wynikało to z naszego nadmiernego optymizmu oraz do ewolucji świadomości działaczy "S" po 13 grudnia. Hęzumiemy, że był to i do dziś jest postulat nierealny. Nie można tworzyć przedzielnymi władzy, jeżeli nie ma sfery struktur politycznych. Państwo przedzielnymi musiałoby się na nich oprzeć i takwotnie- wad logiczną władz PRL. To, że państwo takie nie powstało nie wynika z ewolucji świadomości politycznych, ale ich niezdecydowania, niskiej świadomości politycznej, obywatelskich pragnień porównania się z władzą, słabości struktur politycznych. Nie trapić nas tym, ale też nie bierzmy tej słabości za restrykcję.

Czy przy pomocy "S" Polacy mogą wybić się na niepodległość? Nie! Nie jest ona w stanie, sformułować niepodległościowego programu. A od tego trzeba zacząć zacząć. "S" nie jest zresztą także w stanie spełnić obecnie funkcji władzy sądowniczej. Jest wciąż populistycznym ruchem społecznym. Dlatego Polsce potrzebna są partie polityczne i ich katalizacja czyli PPP. W.K. przestrzega nas - primo nie mówić. Ta sama nasza Hipokratesa jest niewątpliwie słuszna. Czy jednak chciałobyś leczyć się o lekarza, który by terapię ograniczał wyłącznie do tej zasady, mówiąc nie polecać żadnych leków - mogą zaszkodzić. A tak, "samc Panu na pewno przejdzie".

Zydran ZNASZKOWSKI

WIELKI DZIEN POWSZEDNI /fragment/

Wojciechowski na apel "A" o nadsyłanie uwag do ogłoszonego w numerze 24 programu był wysłany do "ONU" artykuł pt. "Wielki dzień powszedni", który stanowi nie tyle straszenie, ile rozwinięcie szczegółowe z pewnymi modyfikacjami, przynajmniej w paru zdaniach.

Coś z czy jak ostatnio zmieniliście Panowie, PPP/ powinno uzgodnić jasne przedziały społecznie szczegółowy program na kilka lat po wyzwoleniu. W tym okresie przejściowym poszczególne stronnictwa, na podstawie praktycznie zebranych doświadczeń przygotować własne platformy, z którymi stanać do wyborów. Przeprowadzenie wyborów /w okresie paru miesięcy/ wyborów byłoby, uważam, grubym błędem. Programy byłby tworzone a społeczeństwo nie przygotowane do dokonania świadomych opcji, a co za tym idzie przynajmniej na demagogię. Byłoby to, jak nazywam "portugalska" droga demokratyzacji, że natomiast opowiadam się za wzorem "hiszpańskim". Za sterowanym, straszącym przebiegiem do demokracji. W Hiszpanii operacja ta przebiegła bez większych sukcesów. Do przeprowadzenia ją "nawrócony" rząd dyktatorski, który krzyszał przy tym o zupełnej swobodzie uprawnień. Dobrowolne zejście ze sceny naszych komunistów nie wchodziło w rachubę, dlatego gdy uda się nam ich usunąć, należy postawić Rząd Odcowy, wykreślony przez PPP, a tych samych na początku prerogatywach i tym samym zakresie obowiązków co obecna władza. Będzie on stopniowo "zwalniał" poszczególne dziedziny życia dla demokracji. Nie trzeba pamiętać, że skala zmian będzie u nas bez porównania większa, nie występuje tutaj w historii. Tam /na półwyspie Iberyjskim/ tylko polityka, a nas przynajmniej jako gospodarka. Legitymacją faktyczną Rządu Odcowy /o formalnej mówię dalej/ będzie osiągnięty, ale powszechny consensus społeczny. Aby jednak uzyskać

niekwestionowanej większości społeczeństwa, jak i ze względów czysto pragmatycznych, nie może program ten zawierać zmian zbyt radykalnych, ryzykownych czy dyskusyjnych. W szczególności nie może on głosić postulatu reprivatyzacji całego przemysłu. Pomijając kontrowersyjność takiego hasła, stanowi on zagadnienie zbyt trudne w naszych warunkach, już tylko od strony praktycznej. Aczkolwiek w zasadzie również wyprowadza się za tym kierunkiem, ale z takim postulatem można wystąpić dopiero do wyborów, które, jak zaznaczyłem, mogą być przeprowadzone dopiero po paroletnim okresie "Książki Główny". Natomiast w tym okresie rząd ten powinien przeprowadzić eksperymenty w zakresie reprivatyzacji, które na problem ten pozwolą spojrzeć realnie. Nie i przede wszystkim powinien on mieć własny program ekonomiczny, o którym pojęcie dać może np. program S. Kurcowskiego z roku 1981. W całości zresztą sytuacja z roku 1981 może służyć jako punkt wyjścia do twórczenia wizji pierwszego okresu po wyzwoleniu. Do takiej bowiem sytuacji /jak w 1981/ społeczeństwo przygotowane jest już dziś./.../

Recb KOWALSKI

#### UWAGI O "MOMENCIE ZEROWYM".

Powyższy tekst jest tylko fragmentem interesującego i obszernego listu, przysłanego przez Rocha Kowalskiego do redakcji. Autor listu porusza w nim szereg kwestii dotyczących naszego programu. Aby ustosunkować się do całego listu należałoby zamieścić kilka odrębnych artykułów. Ze względów technicznych ograniczamy się do jednej kwestii, która chyba zbyt rzadko pojawia się na naszych łamach - konieczności przekształcenia polskiej gospodarki.

Autor nie zgadza się z naszym programem gospodarczym. Powiedzmy od razu, że argumenty Kowalskiego nie przekonują nas. Zaczniemy od końca przytaczanego fragmentu, gdyż być może tu właśnie kryje się zasadnicza rozbieżność między nami a autorem listu. Kowalski pisze: "W całości zresztą sytuacja z końca 1981 r. może służyć jako punkt wyjścia do twórczenia wizji pierwszego okresu po wyzwoleniu. Do takiej bowiem sytuacji jak w roku 1981 społeczeństwo przygotowane jest już dziś".

Otoż, sytuacja w chwili umownie nazwanej "momentem zerowym" będzie zupełnie różna od tej z okresu psieronicowego. Doświadczenia z 16 miesięcy Solidarności mogą być przestrożą ale nie punktem wyjścia. W czasie Solidarności pojawiło się wiele demokratycznych poglądów i programów ekonomicznych i społecznych. Oto dwa przykłady: - Pierwszy - najważniejszym celem niezależnych działań społecznych jest obrona poziomu życia społeczeństwa.

- Drugi - istnieje łatwe wyjście z kryzysu gospodarczego: wystarczy uruchomić rezerwy /patrz: program Kurcowskiego-Makowskiego 1/, uznający za cudowne lekarstwo obciążenie inwestycji i eksport zamrożonych dóbr kapitałowych/ lub usunąć bariery ograniczające gospodarkę, celowo stawiane przez system /patrz: "list" Rajskiego, który wyłączną winę za kryzys zrzuca na wyzysk gospodarki polskiej przez ZSRN/.

Echa tych dwu nurtów porzmiewają w liście Kowalskiego. Rząd działający w oparciu o społeczny consensus musi dbać o popularność i wobec tego unikać przedsięwzięć niepopularnych, kontrowersyjnych, zwiększających społeczne napięcia/np. reprivatyzacji/. Na odwrót, powinien prowadzić politykę popularną. Popularne jest na przykład obniżanie cen, czynszów, podwyższanie płac, emerytur i innych świadczeń; niepopularne jest bezrobocie, zaś popularne skracanie czasu pracy. Każdy ten tryb należyby ułożyć długą listę posunięć popularnych i niepopularnych rządu. Czy lista taka wystarczy do prowadzenia słusznej polityki gospodarczej? Wielu uważa, że tak. Chyba taką listę życzeń miał na myśli Lenin, gdy pisał, że w komunizmie sprawować rządy może nawet "kucharka". 70 lat rządu "kucharek" doprowadziło jednak do katastrofy gospodarczej, doświadczanej dziś przez wszystkie kraje komunistyczne. Czy tylko dlatego, że były to złe "kucharki", które wobec tego należy zastąpić "kucharkami" dobrymi? Nie! Złe są same mechanizmy "gospodarki postulatycznej", nazywanych w kryzysowych chwilach szczerocią wcluntaryzmem gospodarczym. Wcluntaryzm komunistyczny nie może być zastąpiony przez wcluntaryzm niekomunistyczny /solidarnościowy/. W gospodarce nie ma prostych rozwiązań. Pole decyzyjne jest mocno ograniczone. Dobre chęci i popularne, populistyczne posunięcia gospodarcze kończą się zwykle katastrofą. Przekonał się o tym François Mitterand, który doszedł przed czterema laty do władzy dzięki popularnemu programowi społecznemu /podniesienie płacy minimalnej, wzrost świadczeń społecznych kosztem większego opodatkowania bogatych/, zaś dziś realizacja tego programu zepchnęła socjalistów /i komunistów/ na dno sceny popularności.

Wszystko to, co napisałem, nie oznacza, że nie doceniamy wagi problemu, jakim jest ubóstwo dużej części polskiego społeczeństwa. Owszem doceniamy. Ubóstwo było podstawą przyczyną zrywu robotników w sierpniu 80 roku. Dziś poziom życia jest bez porównania niższy niż 5 lat temu. Za lat kilka lub nascie, w momencie zerowym będzie jeszcze niższy. Jednakże rozwiązanie nie leży w sferze podziału wytworzonych dóbr, a w sferze ich produkcji. Innymi słowy nie chodzi o coraz "sprawiedliwszy" podział dóbr, ale przede wszystkim o to, by było ich coraz więcej. Postulat prowadzenia popularnej polityki społecznej i gospodarczej sprowadza się do posunięć egalitaryzujących ze sfery podziału dochodów. Decyzje w tej sferze są zawsze bardziej popularne, od decyzji stymulujących produkcję, z tej prostej przyczyny, że te pierwsze w widoczny sposób dają jednemu grupom /np. podwyżka zasiłków dla rodzin wielodzietnych/, zabierając innym w sposób mniej widoczny /np. wzrost inflacji wywołany podwyżkami świadczeń/, podczas gdy druga sfera decyzji wpływa na sytuację materialną ludzi w sposób mniej "dyskretny" i rzadko kiedy zupełnie bezbolesny /np. stymulacja poprzez zmniejszenie podatków, co z kolei powoduje obcięcie niektórych programów społecznych/. Wybierzmy sobie więc ów "moment zerowy" według Rocha Kowalskiego. Komunizm już nie istnieje. Władzę przejmuje rząd, którego legitymacją jest społeczny consensus. Rząd planuje szeroki reform "stopniowe zwalnianie poszczególnych dziedzin życia dla demokracji", jak to pięknie ujął autor listu. Jest rzeczą zupełnie pewną, że rząd ten napotka fale żądań materialnych ze strony pracowników. Podobnie było w okresie 16 miesięcy, kiedy to wysuwano powszechnie żądania /kart branżowych/ /karta nauczyciela, stocznikowca, hutnika itp./.. Każda grupa pracownicza spieszyła z rewindykacjami materialnymi, do czego dochodziły materialne rewindykacje niepracownicze /np. ze strony rodzin, emerytów, studentów/. Spieszyć też będą w "momencie zerowym", a siła poszczególnych głosów będzie większa niż za Solidarności, jako że teraz rząd będzie już "nasz". Oczywiście siła tych głosów będzie zróżnicowana, co spowoduje po pierwsze - względne subsydenie grup słabszych /np. emerytów/, a po drugie - doprowadzi do rozkręcenia spirali żądań, ponieważ grupy o głosie słabszym będą mimo wszystko żądać, choć z pewnym opóźnieniem czasowym. Do żądań branżowych dojdą liczne "słuszne postulaty" jak np. większe dotacje dla szkolnictwa, kultury, ochrony zdrowia, większe wydatki na ochronę środowiska naturalnego itp. Wszystko to doprowadzi do wewnętrznych napięć, które skłócić się mogą nawet wojną domową i utratą świeżo uzyskanej państwowości. Rząd "działający w oparciu o powszechny consensus społeczny" stanie wobec problemów nie do przezwyciężenia, a nadmiar "słusznych postulatów" sparyalizować może wszelkie decyzje. Nie wierzę, aby tego typu scenariusz miał jakąś szansę sukcesu. Cóż więc pozostaje? Rysują się dwa wyjścia. Pierwsze - to reforma pod osłoną bańki. To jest zresztą dokładnie ta "hiszpańska droga", o której marzył autor listu, a wraz z nim wielu innych. Tyle, że gen. Franco postawił w Hiszpanii zirową gospodarkę, a reformy mogły sprowadzić się prawie wyłącznie do sfery "nadbudowy". Z przyczyn ideologicznych nie będziemy zajmować się tym scenariuszem. Jesteśmy przeciwnikami totalitaryzmów i dyktatur, nawet "czerwonych".

Pozostaje więc scenariusz przedstawiony w naszym programie /Aneksie/. Nie zawiera on łatwych rozwiązań, nie gwarantuje też wcale sukcesu. Jest to scenariusz głębokiej rewolucji stosunków gospodarczych i społecznych. Scenariusz zmian na miarę kataklizmu, można krytykować każdy jego punkt, gdyż każdy zawiera słabości. Chodzi jednak o to, że w tragicznej sytuacji w jakiej znajduje się i znajdzie w "momencie zerowym" polskie społeczeństwo i gospodarka, nie ma scenariuszy łatwych. Niernormalny jest stan komunizmu, jak więc wyjście z niego może być normalne? Kto takie proponuje, jest demagogiem.

W "momencie zerowym" społeczeństwo polskie znajdzie się w sytuacji Kaspra Hausera, człowieka wychowanego przez społeczeństwo, który dopiero po osiągnięciu biologicznej dojrzałości używa się najprostszych form życia społecznego /mowy, chyczajów, itp./.. Przez 40 lat komunizmu /a ile jeszcze pozostaje?/ urodziły się dwa pokolenia, które nie spożyło naturalnych form społecznego współżycia - rynku, wolnej inicjatywy, swobodnych wyjazdów zagranicznych. Dwanaście milionów ludzi w Polsce pracuje w firmach państwowych. Pozostaje w zupełnie specyficznych stosunkach. Część z nich nie posiada żadnych praktycznych kwalifikacji, wykonuje zbędną społecznie pracę /zerowa wydajność kradawca/, za którą otrzymuje niezbyt wysokie wynagrodzenie, ale przecież zapewniające jakiś taki, przede wszystkim pewny byt. Ilu takich jest? - zapewne kilka milionów. W sektorze nieuspołecznionym, poza rolnictwem, pracuje obecnie jedynie 800 tys. ludzi. Dla większości z tych 12 milionów zatrudnionych u pracodawcy państwowego praca tych 800 tys. jest moralnie podejrzana, nie dająca mimo finansowych rekompensat, per-

spektyw społecznego awansu. Czy tych 12 milionów ludzi zechce przejąć w swe ręce odpowiedzialność za swe własne losy? Oto podstawowy problem "momentu zerowego". Nie wiem czy uda się go rozwiązać pozytywnie. Jestem jednak pewien, że najgorszym wyjściem z sytuacji będzie wzmocnienie układu pracownicy- państwowy pracodawca. Rewindykacje pracownicze adresowane do państwa stawiają społeczeństwo w opozycji wobec państwa. Demokracja "od góry" rozbijana będzie "od dołu" rewindykacjami pracowników. Demokracja oznacza współdecydowanie, bez niego po prostu istnieć nie może. Państwo demokratyczne jest mediatorem, a nie stroną w sporze.

Nasz program ma za główny cel uwolnienie państwa od nadmiaru obowiązków gospodarczych, a tym samym uniknięcie konfliktu państwo- społeczeństwo, konfliktu, który albo rozbija państwo, albo zmienia "odgórną" demokrację w autorytaryzm. Nasze propozycje można nazwać demokratyzacją "od dołu". Społeczeństwo samo musi wziąć w swe ręce odpowiedzialność za swe utrzymanie, za gospodarkę. Od dołu budować musi najprostsze formy więzi /samorząd terytorialny, samorządny, samodzielne nieskrępowane inicjatywy/. Zadania gospodarcze państwa sprężać się będą do ustalania warunków gospodarowania, nie zaś spełniania funkcji superpracodawcy. W "momencie zerowym" optymalnymi warunkami gospodarowania będą możliwie największe swobody inicjatywy. Zbyt duże jest hamulców w psychice społeczeństwa, by jeszcze państwo miało stwarzać ograniczenia. Powinno postąpić dokładnie odwrotnie - stymulować wolną przedsiębiorczość. Okres ten przypominać będzie, być może, burzliwy rozwój kapitalizmu w końcu XIX w., zwany kapitalizmem grynderskim 2/. Nie jest to system moralnie budujący. Zdawać sobie trzeba sprawę, że do głosu dojdą mogą ludzie bezwzględni. Początkowy system prawa cywilnego zawierał będzie z pewnością duże luk, co umożliwi działalność na pograniczu gospodarczych afer. To wszystko prawda. Ale nadmierna kontrola produkcji mająca na celu uniknięcie afersparaliżować może gospodarkę. Powtarzamy - nie ma wyjścia taniego z polskiego pata. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że nasze rozważania dotyczą "momentu zerowego", okresu prawdopodobnie kilkuletniego, nie zaś systemu docelowego, jakim jest dla nas demokratyczny kapitalizm. Nieprzyjemny okres przejściowy jest według nas nieunikniony, dyskutować można jedynie rozmiary "szoku" oraz czas jego trwania.

Rozwinięte kraje kapitalistyczne mają już dawno za sobą okres dzikiego kapitalizmu. Łagodzony był on dzięki mechanizmom demokratycznym. Wytwarzały one system prawny stopniowo, ograniczający swobodę działań patologicznych i chroniący grupy upośledzone. Jeszcze ważniejszą rolę w eliminowaniu patologii odegrała samorganizacja społeczeństwa. Instytucje prawne są często zbyt mało elastyczne i dlatego stosunkowo łatwo jest czynić bariery stawiane przez prawo. Demokracja umożliwia przeciwstawienie się przez grupy nadmiernie wyzyskiwane swoim wyzyskiwaczom i tworzenie sił przeciważnych. Czerwona propaganda często pokazuje patologiczne zjawiska dziejące się w środowiskach prywatniarskich w komunizmie. Propaganda podjudza przeciw prywatniarzom utarczając ich, czasami nie bez racji, z gospodarczymi gangsterami. Tymczasem to właśnie niemożliwość samorganizacji społeczeństwa powoduje, że zjawiska tego typu w komunizmie wśród prywatnych wytwórców są widoczne i trwałe. Nie poddają się też działaniom prawnym, tym bardziej, że te mają przede wszystkim cele propagandowe.

Tak więc rozmiary zjawisk grynderskich i czas ich trwania będą zależeć w dużej mierze od zdolności samorganizacji społeczeństwa.

Za jeden z najważniejszych problemów "momentu zerowego" uważamy brak kapitałów, brak chętnych do nabycia państwowych fabryk. Jest jasne, że im większy będzie zakład, im bardziej przestarzały, tym większe trudności z jego zbytem przedsiębiorstw niepaństwowym. Wyjścia z tej sytuacji jednak widzimy. Część przedsiębiorstw zostanie przejęta w zarządzanie przez pracowników /rady pracownicze/. Prawna forma działania majątkiem jest sprawa otwartą do dalszych dyskusji. Przedsiębiorstwa społeczne byłyby całkiem samodzielne zarówno w prowadzeniu produkcji jak i finansowaniu. Proponujemy też wypuszczenie kapitału obcego. Oczywiście, aby komukolwiek z zagranicy cofać się inwestować w Polsce, płace muszą być stosunkowo /w porównaniu z robotnikami zachodnimi/ niskie, jak również podatki, ograniczone prawa pracownicze. Znowu kłania się kapitalizm grynderski. Niestety jest to chyba nieuniknione.

Przezwyciężenie z gospodarki komunistycznej na wolną polegać będzie na wprowadzeniu przepisów prawnych, zmieniających status przedsiębiorstw i zatrudnionych w nich pracowników. Możliwe to będzie w stosunkowo krótkim czasie. Zmiana ta będzie szkieletem. Jeżeli jest jednak jakaś szansa to stanowi ją tylko demokracja budowana od dołu. Propozycje Rocha Kowalskiego doprowadziłyby bowiem jedynie do utrwalenia stosunków istniejących w komunizmie. Rewindykacje skierowane w kierunku państwa rozbijałyby demokrację i uniemocniłyby reformy "prokapitalistyczne". Nasz scenariusz przewala



zmienić szczebel napięć społecznych. Rekompensata za trudności materialne byłaby swobodą działań zarówno politycznych, jak i gospodarczych. Mówiąc nieco trywialnie - nasz scenariusz pozwoliłby ludziom, zwłaszcza aktywnym, wyżyć się w wielu dziedzinach. Mimo wszystko wierzymy, że nie jesteśmy narodem samobójców i nauczymy się żyć normalnym życiem społecznym.

Na koniec jeszcze jedna uwaga skierowana do tych, którzy są zdania, iż ryzyko związane z odejściem od komunizmu jest /co zresztą może wynikać z naszych rzekań/ zbyt duże i w związku z tym należy raz na zawsze wyrzec się myśli o zmianach ustrojowych. Władze komunistyczne prowadzą rządy rabunkowe. Koszty ponosi społeczeństwo, coraz bardziej zdemoralizowane. Gospodarka jest zastrasżająca zaccfana. Ta rabunkowa polityka zbliża się, przynajmniej w Polsce, do kresu swych możliwości. Z całą pewnością zakończy się katastrofą, w której chcąc nie chcąc wszyscy będziemy uczestniczyć. Nie umkną przed nią także ci, którzy działaniem podziemnym odmawiają dziś swego poparcia, twierdząc, że polityka ich nie interesuje, że chcą po prostu normalnie żyć. Normalne życie można znaleźć tylko w normalnym ustroju.

Janusz NOWICKI

- 1/ Decent Mieczysław Rakowski - we wspomnianym okresie pracownik Komisji Planowania. Nie mylić z Mieczysławem F. Rakowskim, byłym red. naczelnym "Polityki" - ówczesnym wicepremierem.
- 2/ Grynderstwo /niem. Grunder - założyciel, fundator/ - popieszone zakładanie kapitalistycznych przedsiębiorstw, głównie w postaci spółek akcyjnych, charakterystyczne dla okresu dobrej koniunktury, rozpowszechnione zwłaszcza w końcu XIX i początkach XX wieku, mające na celu osiągnięcie wysokiego zysku, połączone ze spekulacją i grą na giełdzie.

## REORGANIZACJA ROLNICTWA.

Konieczność radykalnych zmian w rolnictwie nie ulega wątpliwości. Doszło do tego, że Polska z dawnego eksportera żywności stała się importerem, a mimo to rynek jest niezaspokojony. Przyczyną tego stanu rzeczy jest kilka: głównie to niewłaściwa struktura agrarna i nieefektywne gospodarstwo. 76% /14.384.000 ha/ ziemi znajduje się w rękach prywatnych. Ziemia ta jest bardzo rozdrobniona - 58% gospodarstw ma powierzchnię od 0,5 do 5 ha. Właściciele ich to przeważnie chłopcy-robotnicy, którzy na tej ziemi często gospodarują ekstensywnie. Tylko 5,7% gospodarstw ma powierzchnię powyżej 15 ha. PGR-y, Spółdzielnie Produkcyjne, Kółka Rolnicze posiadają 24% /4.495.000 ha/ ziemi i prowadzą gospodarkę ekstensywną. Ponadto, mimo znacznie większych nakładów inwestycyjnych sektor państwowy nie ma wcale lepszych wyników a niekiedy nawet gorsze wyniki produkcyjne niż prywatny. Dlatego też, by podnieść produkcję żywności, trzeba przeprowadzić reorganizację rolnictwa. Najpierw jednak powinna nastąpić szybka i radykalna poprawa zaplecza w artykuły do produkcji rolnej. Aby to nastąpiło, należałoby stworzyć korzystny system podatkowy dla przemysłu i rzemiosła produkującego dla potrzeb rolnictwa, który zachęciłby także zagranicznych producentów wprowadzających najnowocześniejsze technologie. Rynek musi być dostawnie zaopatrzone tymi towarami. Tylko wtedy rolnik będzie mógł skupić się wyłącznie na produkcji nie tracąc czasu na kombinowanie i szukanie tych towarów. Będzie miał czas na dokształcanie i wypoczynek. Reorganizacja w czólnych zarysach polegałaby na parcelacji gospodarstw państwowych i likwidacji ekstensywnych gospodarstw chłopskich, które w nowych warunkach zaczęłyby bankrutować /wysokie ceny skupu przy wysokim plątku/, chyba że z gospodarki ekstensywnej przestawiłyby się na intensywną. Według mnie, wykup ziemi nie byłby przymusowy zapobiegając w ten sposób chwilowemu zmniejszeniu produkcji, co by nastąpiło gdybyśmy chcieli zrobić to zbyt gwałtownie. Natychmiastowej sprzedaży na drodze licytacji podlegałaby ziemia z Państwowego Funduszu Ziemi, którą dzierżawią rolnicy indywidualni. Jest tego około 650.000 ha. Następnie przymusowej sprzedaży podlegałyby rozdrobnione kawałki pól PGR-ów, które chcieliby kupić prywatni właściciele pól z nimi sąsiadujących w celu ich powiększenia. Na koniec podlegałyby parcelacji całe PGR-y, które zbankrutowały po przerwaniu dofinansowywania. Powinny być one dzielone na gospodarstwa o powierzchni 30-50 ha. Wielkość ta wydaje się być optymalna w polskich warunkach. Gospodarstwa takie mają być bowiem w pełni zmechanizowane i nie stanowić zagrożenia dla środowiska naturalnego jak dowodzi tego obserwacja istniejących obecnie gospodarstw tej wielkości. Dodatkowo ulegnie likwidacji cała biurokracja /PGR-u czy KSP/. Niewątpliwie parcelacja spowoduje straty /niewykorzystany ciężki sprzęt i budynki PGR-ów/, aby je zmniejszyć sprzedawano by je każdemu chętnemu w

drodze licytacji. Na kupno i niezgodne inwestycje właściciel dostawałby kredyt z banku, którego spłata zaczynałaby się po upływie 5 lat i rozłożona byłaby na 40 lat z uwzględnieniem kursu złotówki. Aby nie doprowadzić do natychmiastowego bankructwa wszystkich PGR-ów trzeba by zapewnić im całkowitą swobodę w podejmowaniu decyzji z wyjątkiem możliwości sprzedaży, wydzierżawienia ziemi i zabudowań. Najlepsze z nich powinny się utrzymać i skutkiem zachodzących zmian przypominałyby raczej prawdziwe spółdzielnie produkcyjne /np. duńskie czy szwedzkie lub izraelskie/. Parcelację przeprowadzałaby komisja podległa ministerstwu rolnictwa. Składałaby się z fachowców nie pochodzących z terenu, na którym by akurat działała, aby decyzje były obiektywne, oparte na konkretnych faktach. O wiele wolniej zanikałyby ekstenzywne gospodarstwa karłowate. wszelkie rolnicze zakłady doświadczalne powinny przestać państwowe, ale nie mogłyby być dofinansowywane. Ponadto trzeba by zmienić w nich sposób zarządzania i nagradzania tzn. nagradzać za konkretne osiągnięcia. Banki powinny udzielać kredytu wszystkim, po upewnieniu się o trudności inwestycji. Na specjalnie korzystnych warunkach udzielano by pożyczek na budowę przechowalni, suchoarni, przetwórci oraz zakładów produkujących dla rolnictwa, jako najbardziej potrzebnych. Ponadto w małych gospodarstwach banki udzielałyby kredyty głównie na produkcję ogrodniczą i nasienną, bowiem ekspert tych produktów jest najbardziej opłacalny. W tej sytuacji właściciele małych gospodarstw mieliby do wyboru: sprzedać gospodarstwo i przenieść się do miasta, lub przestawić się na ogrodnictwo. Wielu prawdopodobnie wybrałoby drugi wariant i Polska stałaby się szybko potęgą ogrodniczą. Dzięki silnej konkurencji w rolnictwie, a przede wszystkim w ogrodnictwie, udało by się niebawem dogonić w wydajności najlepszych. I po zaspokojeniu potrzeb krajowych rozwijałby się - przy znacznie mniejszym impercjie /głównie pasze wyskokobiałkowe, cytrusy, użyki, przyprawy/ - wielki eksport żywności /głównie produkty ogrodnicze/. Aby podnieść poziom wykształcenia ludzi na wsi należałoby zmienić system kształcenia w szkołach rolniczych, od zawodowych po studia. Mianowicie wprowadzić roczną praktykę po skróceniu szkoły w gospodarstwie o wybranej przez ucznia specjalności, bowiem obecnie w szkołach jest dużo teorii a mało praktyki. Ponadto uaktywnić by trzeba służbę rolną, która zamiast doradzać rolnikom, pisze sprawozdania siedząc za biurkiem. Należałoby zlikwidować Spółdzielnię Kółek Rolniczych, których usługi są deficytowe i stopniowo doprowadzić do powstania konkurujących ze sobą prywatnych firm usługowych.

Zastanawiając się w jaki sposób zreorganizować polskie rolnictwo musimy pamiętać o jednym: reorganizacja rolnictwa powiedzie się wtedy, kiedy ceny na produkty rolne wyznaczać będzie popyt a nie centralne sterowanie.

Przemek LECHICKI

WIELKOPOLSKI ODDZIAŁ LDP "NIEPODLEGŁOŚĆ"

Redakcja: Wprowadziliśmy niewielkie skróty. Oczekujemy na dalsze głosy, zwłaszcza w kwestii dopuszczenia możliwości szczególnej opieki państwa nad rolnictwem.

**UWAŻAJ!**!: przedrukowany przez nas na początku numeru z nieznaczonej kasety mpuclog Jacka FEDOROWICZA jest obecnie rozpowszechniany na kasecie "NOWEJ" zatytułowanej "O CENZURZE".

## KOMUNIKATY:

1. Zawiadamiamy, że stale z nami współpracują na terenie:
  - FRANCJI /a także RFN i Beneluxu/ - LESZEK TRUCHLEWSKI, 2, rue Davy, Paris 75017
  - SZWECJI /i całej Skandynawii/ - JANUSZ CUPRYJAK, var 4311, 3-35255, Vaxje.
11. Informujemy o zbieraniu przez nas wpłat na "FUNDUSZ POMOCY DLA REPRESJONOWANYCH ZA DZIAŁALNOŚĆ OPOZYCYJNĄ". Apelujemy o wpłaty na ten fundusz.
111. Apelujemy o przekazywanie nam informacji o wszelkich represjach i szykanach dotyczących prowadzących niezależną działalność i ich rodziny. Uzyskane informacje prześlemy KOMITETOM - OCHRONY PRAWORZĄDNOŚCI i HELSIŃKIEMU oraz AMNESTY INTERNATIONAL.